ISSN 0137-8503

RYMYK 15

1985

DALECY a jednak BLISCY

„Bo w życiu albo jesteśmy zawsze samotni, nawet w tłumie, albo też nigdy, nawet gdy najbliżsi ludzie są o tysiące mil..." – tak pisze kpt. Andrzej Urbańczyk w swoich żeglarskich notatkach z samotnego rejsu dookoła świata, dodając jeszcze, że właśnie będąc sam pośród wód oceanu myślał nie tylko o najbliższych, lecz o wszystkich ludziach jak o przyjaciołach.

To ciekawe, że w zupełnej samotności, z dala nie tylko od ludzi, lecz i od jakiegokolwiek lądu – takie właśnie myśli przychodzą do głowy. Bo człowiek nigdy nie jest sam, jeśli tylko ma świadomość, że jest cząstką świata. To właśnie daje poczucie wspólnoty i współodpowiedzialności za to, co się dzieje nie tylko we własnym, najbliższym kręgu rodzinnym, lecz i... za kręgiem polarnym. Nie tylko w Dębicy (patrz obok) – lecz wszędzie, gdzie mogłyby nas zawieźć koła z oponami z dębickiego „Stomilu".

Kapitana Urbańczyka zaniósł jego jacht na najdalsze krańce świata, a jednak i tam nie przestał być „jednym z nas". I nie jest to chyba nic niezwykłego. Bo gdyby nie było w każdym poczucia przynależności do wielkiej ludzkiej wspólnoty, to nie szukalibyśmy przyjaciół, nie wszczynalibyśmy rozmów z przypadkowymi towarzyszami podróży. Bylibyśmy obojętni i nie tak ciekawi świata i ludzi.

Moskiewski Festiwal, poza tym, że służył ważnym, najważniejszym dla przyszłości świata celom politycznym, był też czymś, co wyrasta z powszechnej, szczególnie żywej wśród młodych ludzi chęci poznania się, dogadania, zawarcia przyjaźni, które „nie znają granic". To pragnienie przetłumaczone na język polityki oznacza: porozumienie i utrwalenie pokoju na świecie.

Uczestnicząc na odległość w Festiwalu – czytając korespondencje, oglądając transmisje – mogliśmy się czuć trochę jak kpt. Urbańczyk, choć dalecy to jednak bliscy tym dwudziestu tysiącom delegatów reprezentującym miliony młodych ludzi z całego świata, którzy już niebawem będą decydować o tym, jaki będzie świat XXI wieku. Oby nikt w tym świecie – żaden naród i żaden człowiek – nie czuł się zagubiony i osamotniony.

(jsk)

„Płomyk" wydawany jest
przez Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia".
Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Włodzimierz Barchacz (fotoreporter)
Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Barbara Wiśniewska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)
Izabella Żur (redaktor techniczny)

RADA REDAKCYJNA:
Waldemar Andrzejewski
Krystyna Czernikiewicz
Marek Fiedorow
Zdzisław Kazimierczuk
Jerzy Kowalski
Mikołaj Kozakiewicz (przewodn.)
Ewa Nowacka
Zdzisław Nowak
Julian Radziewicz
Janina Solak
Magdalena Tyszka

NA OKŁADCE:
Jacht kpt. Andrzeja Urbańczyka, na którym odbył w ubiegłym roku rejs dookoła świata. Jego relację z rejsu znajdziecie na str. 8–10.
Mal. *Adam Werka*

ECHO RAJDU

Po przeszło rocznej wędrówce po całej Polsce zakończyliśmy w numerze 13 „Rajd 40-lecia". Ale jeszcze dochodzą do nas rajdowe listy. Meldunek z Dębicy postanowiliśmy wydrukować na prawach spóźnionego echa, gdyż jest w nim dużo różnorodnych informacji podanych lekko i swobodnie.

Meldunek z Dębicy

Przeglądając korespondencję „Rajdu 40-lecia" zauważyłam brak jakichkolwiek informacji dotyczących woj. tarnowskiego. Nie jest to może region specjalnie zabytkowy czy bogaty w przyrodnicze niezwykłości, ale w ciągu kilkudziesięciu lat przeobraził się on z ubogiej zacofanej galicyjskiej prowincji w dobrze uprzemysłowione województwo.
Jednym z najważniejszych miast woj. tarnowskiego jest Dębica, która leży na skraju Pogórza Ciężkowickiego, na wys. 200 m n.p.m., a więc ani za nisko, ani za wysoko. Nie ma tutaj żadnych wyższych wzniesień i nigdzie nie trzeba się wspinać. Niedaleko przepływa rzeka Wisłoka, która niegdyś tworzyła rozlewiska, ale dzisiaj nie sprawia już większych kłopotów poza nielicznymi powodziami. Pierwszy ślad lokacji miasta na terenie Dębicy pochodzi z 1358 r. Wówczas to król Kazimierz Wielki zezwolił Świętosławowi z rodu Gryfitów na założenie miasta zwanego Dębica. Król ustanowił targ tygodniowy w środę i... tak jest do dzisiaj.
W okresie przedrozbiorowym i podczas rozbiorów Dębica nigdy nie była silnym ośrodkiem gospodarczym. Dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym powoli zaczęła nadrabiać wiekowe zaległości. Rozpoczęto wtedy budowę zakładów przemysłu gumowego (dzisiejszy „Stomil" dębicki). W 1936 r. Dębica stała się miastem powiatowym i to podniosło nieco jej rangę i znaczenie.
Prawdziwy rozkwit miasta rozpoczął się po II wojnie światowej. Obecnie Dębica liczy około 38 tys. mieszkańców. Jej obszar stale się zwiększa. Pod osiedla mieszkaniowe oddaje się coraz więcej miejsca. Przybywa dzieci, a szkół mamy wciąż mało. Na brak szkół uskarża się zresztą nie tylko Dębica, ale dziesiątki innych miast.
Po wojnie nastąpił w Dębicy intensywny rozwój przemysłu. Obecnie istnieją tu następujące ważniejsze zakłady: Dębickie Zakłady Opon Samochodowych „Stomil", Wytwórnia Urządzeń Chłodniczych, Fabryka Farb i Lakierów, Zakłady Mięsne i Kombinat Rolno-Przemysłowy „Igloopol". Duże korzyści i sławę przynoszą Dębicy zwłaszcza dwa zakłady: „Stomil" i „Igloopol". Pierwszy jest producentem dętek i opon samochodowych, drugi produkuje m.in. świetne mrożonki. Przedsiębiorstwa posiadają własne domy kultury i ośrodki wypoczynkowe. Istnieje również w Dębicy znany zespół pieśni i tańca „Igloopolanie", znany nie tylko w Polsce, ale i za granicą.
Na brak zieleni Dębica nie może narzekać. Znajduje się tutaj wiele trawników, klombów (starannie utrzymanych), posadzono dużo drzew (szczególnie klonów i topoli). Jest to niezbędne, gdyż zakłady przemysłowe bardzo zanieczyszają atmosferę. Dębica leży przy trasie E-22, którą przejeżdżają tysiące samochodów pozostawiając po sobie trujące spaliny. A przecież dawniej tereny ziemi dębickiej były całkowicie zalesione, o czym świadczą nazwy miejscowości: Jaworze, Zawierzbie, Dębica, Brzeźnica, Wiewiórka. Dziś dowiadujemy się, że park w pobliżu „Stomilu" – łysieje... Zanieczyszczona jest również rzeka Wisłoka, która już do Dębicy przypływa w stanie nie pierwszej czystości, ponieważ wcześniej mija Jasło. A szkoda, bo brzegi rzeki mające jeszcze piękny, naturalny wygląd stanowią wymarzone miejsce wypoczynku dla mieszkańców mojego miasta. Można też udać się na basen do pobliskiego Pustkowa. Niestety, nie mamy jak na razie krytego basenu w samej Dębicy. Przydałby się również szpital, gdyż jeden to za mało jak na potrzeby takiego miasta. Niezbędna jest też większa ilość żłobków, przedszkoli, a także utworzenie kilku nowych przychodni zdrowia, jak również wybudowanie gmachu poczty obsługującej nowe osiedla, bo np. mieszkańcy Osiedla „Pana Tadeusza" chcąc wysłać paczkę czy list muszą iść aż do centrum.
Jak w wielu innych miastach, są i w Dębicy kłopoty z ciśnieniem wody na wyższych piętrach bloków, tak że trzeba korzystać z życzliwej pomocy sąsiadów lub zwyczajnie – myć się w zimnej. Ważne jest także zadbanie o to, aby młodzież miała jak spędzać wolny czas. Obecnie istnieje w Dębicy MDK, gdzie można się np. uczyć języków obcych. Warto byłoby jednak zorganizować jeszcze inne placówki dla młodzieży (oczywiście bez sprzedaży tytoniu i alkoholu). Mało jest ciągle u nas giełd płyt, książek, kiermaszy, pokazów, konkursów i w ogóle imprez kulturalnych. Słyszałam, że dawniej do Dębicy przyjeżdżały różne zespoły, a więc dlaczego teraz nikt się nie pofatyguje?
Mimo tych wszystkich usterek Dębica jest wspaniałym miastem, o czym np. świadczy jej zwycięstwo w Telewizyjnym Turnieju Miast, który odbył się między nią a Kraśnikiem Lubelskim w 1984 r. (zwycięstwo było całkowite, bez jednego punktu dla przeciwnika). Na tym kończę mój nieco przydługi meldunek z Dębicy.

Agata Tarnawska,
lat 14, kl. VII

WARTO WIEDZIEĆ!

NARESZCIE JEST PANORAMA!

A więc – nareszcie! – po długich oczekiwaniach słynna panorama została odsłonięta 14 VI br. we wrocławskiej rotundzie i udostępniona zwiedzającym. Długie i dramatyczne są dzieje tego płótna. Ale już samo powstawanie dzieła otaczała atmosfera sensacji.

Było to w 1892 r. na dwa lata przed setną rocznicą insurekcji kościuszkowskiej oraz bitwy pod Racławicami. Zastanawiano się, jak uczcić to wydarzenie, by w latach niewoli dodać rodakom ducha. Krakowski malarz – Jan Styka – zgłosił wtedy pomysł namalowania historycznej panoramy na wzór innych, modnych wówczas w Europie panoram. Czas naglił, szybko więc przystąpiono do realizacji projektu, który gorąco poparło społeczeństwo, nie szczędząc funduszy. Udało się też uzyskać we Lwowie teren pod budowę odpowiedniego pawilonu w kształcie rotundy. Do pomysłu Styki zapalił się słynny batalista Wojciech Kossak, do współpracy przystąpili też inni znani malarze, m.in. Teodor Axentowicz, Jan Stanisławski i Włodzimierz Tetmajer.

Prace malarskie poprzedziło dokładne studiowanie dziejów bitwy, szperanie po archiwach, bibliotekach, jak też szczegółowe badanie terenu, na którym rozegrała się bitwa. Trzeba było pamiętać o tysiącach szczegółów. Mundury, broń, uprząż – wszystko to musiało być autentyczne. Zadbał o to zwłaszcza Kossak, znany ze swej skrupulatności w odtwarzaniu wojskowych realiów. Stał on się też głównym autorem panoramy, malując dwie trzecie ukazanych w niej scen.

Malowidło powstało w rekordowym czasie – zaledwie w 9 miesięcy od namalowania pierwszej postaci, którą był ponoć Bartosz Głowacki. Tempo zawrotne, jeśli weźmie się pod uwagę ogromne rozmiary płótna (120 m dł., 15 m wys., 1800 m² powierzchni) i trudności techniczne towarzyszące malowaniu na rusztowaniach. I oto 5 VI 1894 r. panorama ukazała się oczom zwiedzających. Wrażenie było ogromne. Wszystkim wydawało się, że stoją w środku bitwy, tak sugestywnie zostało zakomponowane całe otoczenie łączące się z obrazem.

W ciągu pierwszych sześciu miesięcy panoramę obejrzało ponad milion osób. Również w następnych latach stanowiła ona wielką atrakcję Lwowa.

W 1941 r. na rotundę spadły niemieckie bomby, uszkadzając budynek i część płótna. Aby uchronić przed dalszym zniszczeniem, trzeba było je nawinąć na długi drewniany wał. Panorama spoczęła w skrzyni, którą w 1946 r. przewieziono do Wrocławia. W następnych latach kilkakrotnie zabierano się do renowacji malowidła i budowy rotundy, ale za każdym razem sprawa przycichała. Dopiero w 1981 r. energicznie zabrano się do dzieła. Trzeba było ukończyć prace w rotundzie, ale przede wszystkim odnowić płótno będące w opłakanym stanie. Rozpoczęły się bardzo żmudne prace konserwacyjne wymagające zabiegów wielu specjalistów.

Dzięki nowoczesnej technice odnowiona panorama ma szansę długiego żywota. Specjalne urządzenie elektroniczne i odpowiednie środki chemiczne będą ją chronić przed pożarami i zniszczeniami. A zwiedzających, chętnych zobaczyć to monumentalne dzieło, z pewnością nigdy nie zabraknie.

(ah)

Znaczek upamiętniający odsłonięcie panoramy

Żadne zdjęcie nie odda wrażenia, jakie stwarza panorama. To trzeba zobaczyć! *(Fot. CAF)*

PRZYPOMINAMY, ŻE W POPRZEDNIM NUMERZE ZOSTAŁ OGŁOSZONY

KONKURS MŁODYCH PIÓR NA AUTOWYWIAD, AUTOREPORTAŻ,

czyli rozmowę ze sobą, lub też reporterską relację o sobie samym.

WARUNKI KONKURSU

1. Może w nim wziąć udział każdy, kto czuje potrzebę porozmawiania z kimś o swoich sprawach.

2. Objętość prac konkursowych nie musi być wielka. Wystarczy kilka stron.

3. Pamiętajcie podać swoje imię, nazwisko, dokładny adres oraz wiek. Kto nie chciałby, żeby w wypadku drukowania pracy ujawniać jego nazwisko – niech to wyraźnie zaznaczy i oprócz nazwiska poda swój pseudonim.

5. Najciekawsze „autoportrety" zostaną wydrukowane w „Płomyku", a ich autorzy otrzymają honoraria. Następnie przeprowadzony zostanie plebiscyt wśród czytelników i zgodnie z jego wynikami, rozdzielimy honorowe dyplomy i nagrody.

5. Prace należy nadsyłać pod adresem naszej redakcji z dopiskiem na kopercie: „Konkurs Młodych Piór – JA '85.

6. TERMIN nadsyłania prac – w związku z opóźnieniem się druku ostatnich numerów – PRZEDŁUŻAMY do 15 października.

RADY, jak pisać swoje „autoportety", podaliśmy w poprzednim numerze.

TRZYNASTE SPOTKANIE
z Janiną Rubach-Kuczewską

– *Czy Pani wie, że w „Płomyku" ukazało się już 12 Pani reportaży, a artykuł o tygrysach będzie trzynasty?*

– Uwielbiam trzynastki! Ale jak ten czas leci! To już trzeci rok naszej współpracy...

– *A więc najwyższy czas, żeby bliżej przedstawić Panią Czytelnikom. Przydałoby się też jakieś Pani zdjęcie.*

– Myślę, że to na słoniu, które dołączyłam do artykułu, w zupełności wystarczy! Nie jestem fotogeniczna...

– *Sądząc z głosów Czytelników, Pani artykuły cieszą się wielkim powodzeniem. Są pisane bardzo żywo, z werwą i humorem. A trzeba stwierdzić, że obejrzała Pani kawał świata. Wystarczy przypomnieć miasta, o których pisała Pani w naszym cyklu „Słynne miasta świata": Tokio, Manila, Delhi, Katmandu, Kuala Lumpur, Singapur, Bangkok, Sapporo, Dżakarta, Colombo, Kalkuta, Jokohama, a teraz znów Indie – tym razem jednak nie od strony metropolii. Czy sama Pani odbywa te wyprawy?*

– Mój mąż był korespondentem zagranicznym Polskiej Agencji Prasowej, mogłam więc z nim podróżować. Ja też jestem z zawodu dziennikarką i specjalizuję się w tematyce krajów Azji, Dalekiego Wschodu. Przez pięć lat nadsyłałam do różnych redakcji korespondencje z Indii, a przez następne pięć lat z Japonii...

– *...która jest ulubionym Pani krajem.*

– O tak, Japończyków obdarzam szczególną sympatią, za ich pracowitość, rzetelność, uśmiech.

– *Plonem Pani wypraw są nie tylko artykuły, ale i książki. Czy mogłaby Pani przypomnieć tytuły?*

– „Życie po hindusku", „Życie po japońsku" i „Podróże po Tokio". Podobnie jak mąż pisałam poważne artykuły o wydarzeniach politycznych, ale starałam się też przyjrzeć bliżej codziennemu życiu w krajach, w których mieszkaliśmy.

– *Trudno nie zapytać o Pani hobby.*

– Przede wszystkim – samochód! Jestem zamiłowanym kierowcą i mogę się pochwalić, że prowadziłam samochód po himalajskich drogach.

– *Można pozazdrościć tylu wypraw.*

– Ale proszę sobie nie wyobrażać, że egzotyczne podróże to tylko pasmo wspaniałych przygód. Wyprawy azjatyckie są nieraz bardzo uciążliwe, wymagają dobrej kondycji fizycznej. A poza tym trzeba się stale dokształcać, zdobywać wiedzę o krajach, które się zwiedza, jeśli się chce rzeczywiście je poznać.

– *W swoim warszawskim mieszkaniu stworzyła sobie Pani namiastkę Dalekiego Wschodu. Tyle tu egzotycznych pamiątek...*

– Nie tylko one przypominają mi Azję. Ciągle wertuję masę książek i czasopism o tematyce azjatyckiej. Chcę być na bieżąco, śledzić wszystkie zmiany, jakie dokonują się w tych krajach.

– *Czy myśli Pani o następnych podróżach?*

– Oczywiście! Marzę o bliższym poznaniu krajów Ameryki Południowej.

– *Oby te pragnienia ziściły się. Życzymy tego również dla dobra „Płomyka", spodziewając się nowych ciekawych reportaży.*

Rozmawiała ANNA HORODECKA

OPERACJA »TYGRYS«

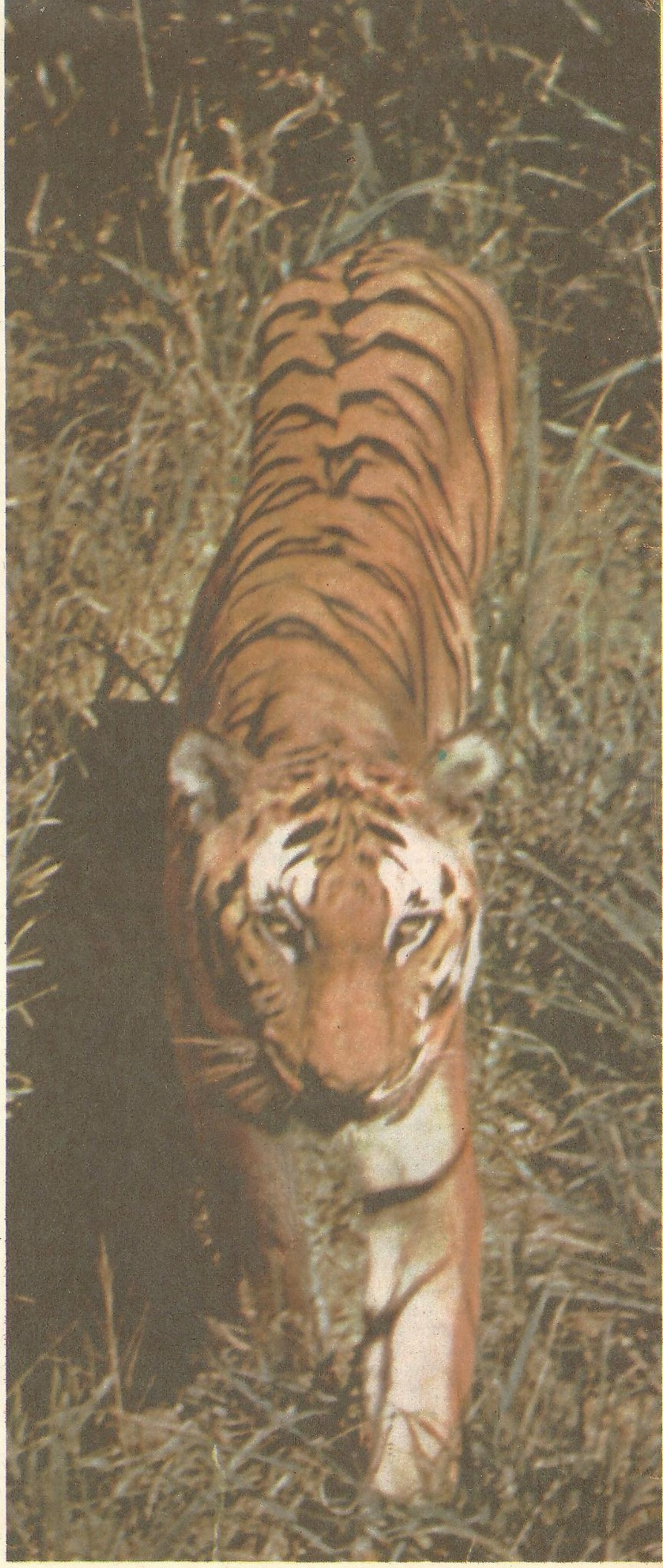

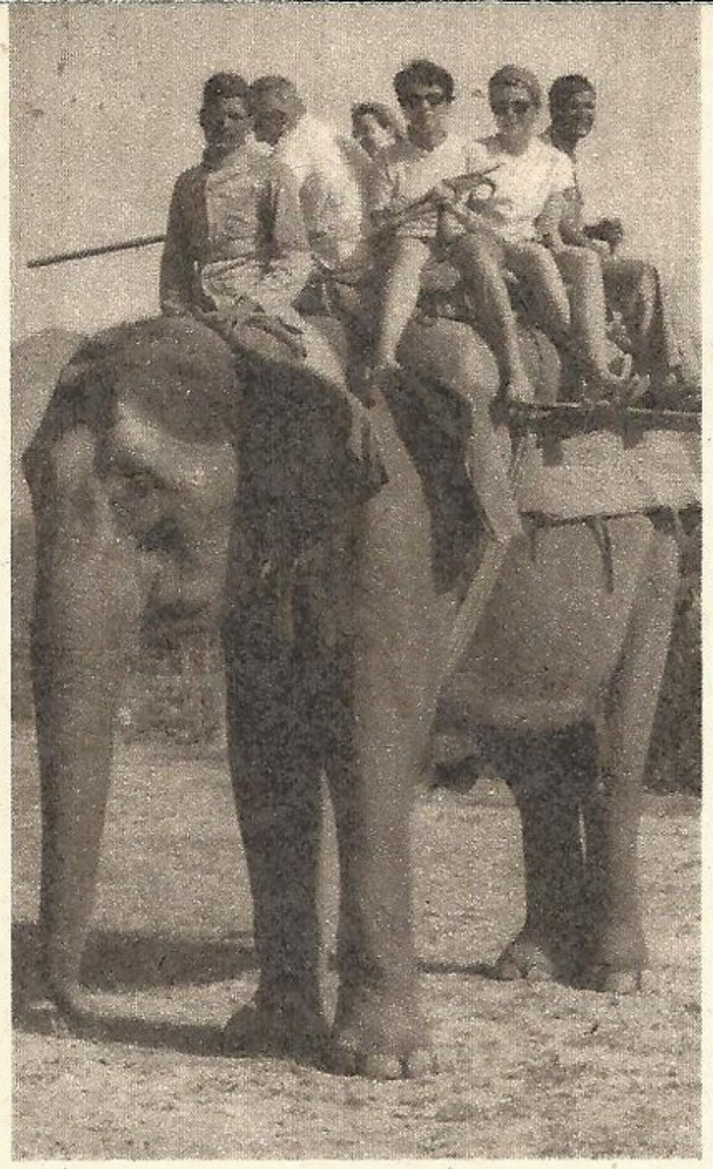

W indyjskim wehikule; w samym środku – autorka artykułu

Gdy w kolejny niedzielny wieczór państwo Gucwińscy z wrocławskiego ZOO (na pewno bierzecie udział w telewizyjnych spotkaniach z nimi) podeszli do klatki tygrysów, natychmiast przypomniał mi się Radż, bohater jednej z indyjskich książek. O niezwykłych przygodach tego tygrysa, napisanych w formie jego wspomnień, opowiedział mi jej autor, znany hinduski pisarz pan R. K. Narayan. Pomysł książki zaczerpnął z życia, bowiem Radż naprawdę istniał, tysiące ludzi widziało go na własne oczy, a prasa zamieszczała jego zdjęcia, gdy przechadzał się ulicami wielkiego miasta Allahabadu.

A zaczęło się to tak...

W pewnej wsi położonej nie opodal jednego z tygrysich rezerwatów oburzeni i zaniepokojeni wieśniacy co kilka dni odkrywali, że w tajemniczy sposób giną ich bawoły. Którejś nocy zaczaili się w zaroślach i zobaczyli sprawcę nieszczęść. Była to dorodna tygrysica. Urządzono na nią zasadzkę, ciężko zraniono i idąc jej tropem dotarto do legowiska, w którym znajdowały się małe. Wieśniacy wsadzili je do worka i sprzedali do cyrku.

Jedno z tygrysiątek – Radż – okazał się bardzo inteligentny. Szybko się wszystkiego uczył, lecz wolność miłował nade wszystko. Długo przemyśliwał, jak ją odzyskać i w końcu doszedł do wniosku, że najłatwiej to osiągnie uciekając w czasie treningów odbywających się na arenie. Tak też postąpił. Już dawno upatrzył sobie dom nadający się na schronienie. Była to szkoła, a jej dyrektor wydawał się zacnym człowiekiem. Przyjął tygrysa bez obaw i pochwalał jego chęć dalszej edukacji. Niestety nie było to łatwe. Dzieci, choć Radż nic złego im nie robił, odnosiły się do niego nieufnie, a z wyżywieniem takiego gościa ubogi nauczyciel też miał kłopoty.

Po różnych zabawnych perypetiach Radż znalazł sobie życiowego przewodnika (Hindusi nazywają takiego kogoś – „guru") – świątobliwego męża żyjącego w pustelni. Dobrze im było razem. Tygrys zaczął rozumieć wiele spraw, nabierał z każdym dniem ogłady, snuł różne filozoficzne rozmyślania na temat życia, dobra i zła, losu ludzi i zwierząt. Stary człowiek pokochał czworonożnego towarzysza i odkrywając piękno jego duszy oraz szlachetność charakteru doszedł do wniosku, że Radż w poprzednim ziemskim bytowaniu musiał być chyba jego krewniakiem, a może nawet bratem, który umarł za młodu.

Zbliżał się czas wielkich pielgrzymek do Allahabadu i nierozłączna para postanowiła także tam się udać, by zażyć jak – miliony nabożnych Hindusów – uświęcającej kąpieli w nurtach Gangesu. Okazja była rzadka, bo festiwal zwany Kumbh Mela, czyli Pełnego Dzbana odbywa się tylko raz na dwanaście lat. Co sześć lat przypada zaś nieco podrzędniejszy jubel – święto Zwykłego Dzbana.

Eliksir wiecznego życia

Tu muszę wyjaśnić rodowód tych uroczystych kąpieli. Otóż dawno, bardzo dawno temu, kiedy wszystko zaczęło się pogrążać w straszliwym chaosie wywoływanym przez nieustanne waśnie między dobrymi duchami i demonami, bogowie postanowili zrobić wreszcie porządek. Uradzili, że najlepiej będzie rozdzielić przeciwników jakąś wielką wodą, lecz skąd ją wziąć? Ktoś wpadł na pomysł, aby wykopać gigantyczną studnię. Wbito w skorupę ziemską olbrzymie kamienne świdry (tak powstały niebosiężne szczyty Himalajów), które miały być poruszone za pomocą liny. Ponieważ nie było jej pod ręką, uproszono tysiącgłowego węża, aby ją zastąpił. Nie śmiał odmówić namowom bogów, ale powstał nowy problem. Kto

To nie Radż, ale któryś z jego krewniaków

będzie ciągnął? Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony, bo gdy dobre duchy uchwyciły ogon węża, demony zaraz chciały go im odebrać ciągnąc za głowę. Zaczęła się szamotanina, raz w tę, raz w drugą stronę, dzięki której świdry poszły w ruch...

Wkrótce powstał w ziemi olbrzymi lej, z którego zaczęły wynurzać się dziwne stwory, dotąd nie znane. Były to konie, słonie, krowy, tygrysy i inne zwierzęta, jednym słowem wszyscy (poza ludźmi) mieszkańcy Ziemi. Potem wyłonił się wielki, pękaty gliniany dzban. Wyglądał całkiem zwyczajnie, ale jeden z bogów nieopatrznie zdradził tajemnicę, iż naczynie to zawiera cudowny eliksir wiecznego żywota.

Gdy wieść ta rozeszła się, powstał ogólny tumult. Każdy chciał zdobyć eliksir. Zaczęto więc sobie dzban wyrywać, a że nie miał pokrywy, koniec był żałosny. Bezcenny płyn wylał się! Najwięcej wsiąkło go w ziemię tam, gdzie potężny Ganges łączy się z Dżamną i jeszcze jedną, tylko w legendach płynącą, rzeką Sarasvati. Wiercenia przerwano, a sporu między dobrymi i złymi mocami nie załagodzono. Trwa po dziś dzień, ale wieść o eliksirze życia przekazują sobie pokolenia nabożnych Hindusów, którzy tradycyjnie wędrują do zbudowanego w tym miejscu miasta Allahabadu, aby zanurzyć się w cudownej wodzie oczyszczającej ciało i duszę.

Ostatnie uroczystości Pełnego Dzbana odbyły się w 1978 roku i przyciągnęły nad Ganges blisko 10 milionów pielgrzymów z całych Indii. Przed tą gigantyczną imprezą, w czasie której nieprzebrane tłumy wstępują do rzeki, miejscowe władze ogłosiły stan wyjątkowego alarmu. Nad całą okolicą krążyły helikoptery. Zmobilizowano policję wyposażoną w radiotelefony, służbę porządkową i sanitarną. W takich warunkach łatwo bowiem o wypadki i epidemie. Na przykład w 1954 roku wielu ludzi utonęło bądź zostało zatratowanych przez napierające na brzeg rzeki tłumy.

W takich to właśnie gorących dniach pojawili się w Allahabadzie wychudzony pątnik i jego towarzysz – tygrys. Zwierzę zachowywało się godnie, spokojnie, poruszając się w ciżbie z gracją, niczym w dżungli. Rozmodleni i zapatrzeni w rzekę ludzie nie od razu go nawet zauważyli, ale nie ma cudów... Ktoś poczuł nagle, jak o jego nagie plecy ociera się coś miękkiego, potężnego i odwrócił głowę. Nietrudno sobie wyobrazić, co ów człowiek przeżył, jak bardzo się przestraszył. Na szczęście do ogólnej paniki jakoś nie doszło, a świątobliwy mąż tłumaczył później, że nie mógł przecież zwierzęcia, w które wcielił się jego brat, prowadzić na sznurku czy łańcuchu.

Czym się to wszystko skończyło i jakie były dalsze losy pątnika i tygrysa – nie wiadomo. Ale dzięki tej historii opisanej przez gazety, powstała piękna książka autorstwa niby to samego Radży, zatytułowana „A tiger for Malagudi". Jej autor dużo czasu poświęcił na studiowanie i podpatrywanie obyczajów tygrysów. Obserwował je w ogrodach zoologicznych, w czasie tresury i występów w cyrkach pragnąc wczuć się w psychikę powieściowego bohatera, zrozumieć motywy jego zachowania, jego reakcje. Kłopot największy polegał na tym, że miał dostęp głównie do zwierząt przebywających w niewoli, a Radż przecież żył właściwie na swobodzie.

Można co prawda spotkać czasem tygrysy w rezerwatach, gdzie cieszą się namiastką wolności, ale widzi się je wtedy w niezbyt miłej sytuacji, przede wszystkim w czasie krwawych uczt, gdyż zwabia się je w miejsca odwiedzane przez turystów przywiązując do drzewa bawoła przeznaczonego na żer dla tygrysów.

Jedziemy na „polowanie"

W czasie mego wieloletniego pobytu w Indiach parokrotnie uczestniczyłam w polowaniach na tygrysy. Nie myślcie, broń Boże, że mieliśmy do nich strzelać... Dziś jest to surowo zakazane. Szczęśliwie minęły już czasy, gdy indyjscy maharadżowie i panowie z brytyjskiej kolonialnej elity masowo mordowali te królewskie, wspaniałe zwierzęta. Nie brałam też udziału w wyprawach na „ludojadów", kiedy to wieśniacy, zbrojni w dzidy, a policjanci z bronią palną w ręku usiłują zabić niebezpiecznego tygrysiego „zwyrodnialca". (Tygrysy bowiem w normalnych warunkach nie atakują ludzi, lecz jeśli już do tego dochodzi, stają się niepoprawnymi maniakami łaknącymi człowieczej krwi).

Wyjeżdżałam na „łowy" z filmową kamerą bądź aparatem fotograficznym oraz notatnikiem, lecz przyznam się od razu – choć was to rozczaruje – że ani razu nie udało mi się „ustrzelić" żadnego z tych wspaniałych drapieżników. Są one zdecydowanie znacznie mniej ciekawe ludzi niż my ich.

Pierwsza wyprawa odbyła się skwarną wiosną do podhimalajskiego parku narodowego, zwanego Corbett Park. Dotrzeć do jego centrum, głęboko zaszytego w dżungli, można w czasie suchej pory, kiedy łożyska rzek zmieniają się w skalne wąwozy. Gdy nadchodzą monsunowe ulewy, rezerwat liczący ponad 500 kilometrów kwadratowych, odcięty jest od świata wezbranymi, rwącymi strumieniami. Pracownicy parku często opuszczają wtedy swą osadę w obawie przed powodzią. Opowiadano mi, że po powrocie jesienią niejednokrotnie odnajdywali w niej liczne tygrysie ślady nawet w barakach. „Pamiętnikarz" Radż też cenił sobie cywilizacyjne udogodnienia, dach nad głową, wygodne asfaltowe drogi, po których lepiej mu się stąpało, niż po wykrotach porosłego kolczastymi krzewami buszu.

Obliczono wtedy, że w Corbett Parku żyje około trzydzieści tygrysów (obecnie jest ich co najmniej trzy razy tyle), ale mimo tych obiecujących informacji nie zobaczyłam ani jednego. Nasz „pojazd", czyli niezmiernie sympatyczny wielki szary słoń, na którego grzbiecie przez wiele godzin wędrowaliśmy wśród haszczy, być może coś dojrzał. Kilkakrotnie bowiem zachowywał się tak, jakby zwietrzył niebezpieczeństwo. Znienacka przystawał, niespokojnie poruszał na wszystkie strony trąbą, wachlował się uszami, groźnie ryczał, a gruba skóra marszczyła mu się i drżała, co wprawiało w niemiły ruch nasze siedzenie sporządzone z drewnianej ramy wyplecionej sznurkiem. Pojedynki słoni z tygrysami kiedyś często się zdarzały. Widziałam wiele strasznych malowideł przedstawiających takie walki. Słoń górował siłą i chyba inteligencją, tygrys zwinnością i zajadłością, a odbywało się to często w szaleńczym biegu.

O spotkaniu z tygrysem, jak to w ogóle często bywa w życiu, decyduje szczęście. Jedni w biały dzień, tuż przy drodze, mogą ujrzeć drapieżnika pożerającego swą ofiarę, zazwyczaj łanie, których wielkie

Takiego tygrysa łatwiej zobaczyć w cyrku niż w indyjskiej dżungli

stada pasą się na trawiastych pastwiskach nadrzecznych. Inni zaś czuwają przez całą noc na obserwacyjnej wieży i odjeżdżają rozczarowani. Albo tygrys nie miał apetytu na wystawioną przynętę, albo zwietrzył obecność człowieka.

Należałam niestety do tego drugiego grona, czyli do pechowców. W nie tak odległym od Delhi rezerwacie Sariska, gdzie zapewniano mnie, że na pewno coś „upoluję", też były same „pudła", choć od zmierzchu do północy jeździliśmy po bezdrożach dżipem z reflektorem na dachu, a do świtu tkwiliśmy na ambonie (tak myśliwi nazywają drewnianą platformę umocowaną na wysokich palach). Godziny czuwania ogromnie się dłużyły. Była późna jesień, więc zęby szczękały z zimna, zakazano nam rozmów, palenia papierosów, poruszania się, bo to mogło spłoszyć najbardziej wygłodniałego zwierza. Bawół też był widać pewien, że nie dojdzie do żadnego spotkania, bo sądząc z pochrapywania – spał w najlepsze. Co prawda leśniczy, aby podtrzymać nas na duchu i podsycać nastrój napięcia, od czasu do czasu ostrzegawczo psykał, zwracając nam uwagę na trzask łamanych gałęzi, ale wciąż nic się nie działo.

Zresztą nawet bym się zdziwiła, gdyby zjawił się tygrys. Sariska jest bowiem bardzo nędzną dżunglą. To nie południowy, gęsty, zielony, omotany lianami busz huczący nocą dziwnymi odgłosami, śpiewem ptaków, pokrzykiwaniem małp, piskami, pohukiwaniem, dzwonieniem, zawodzeniem, łopotem skrzydeł. Tu w północnych Indiach drzewa rosną rzadziej, poszycie wątłe, krzewy poszarzałe, trawa wyschnięta. Dopiero letnie monsunowe deszcze ożywiają przyrodę. Nie trwa to jednak długo, bowiem od października do maja, czerwca nie spada tu ani jedna kropla deszczu. Toteż gdybym była tygrysem, na pewno nie wybrałabym tych okolic do spędzenia w nich całego życia.

Ten drapieżnik jednak, jak twierdzą znawcy, umie się znakomicie dostosowywać do różnych warunków klimatycznych i równie dobrze się czuje na dużych wysokościach, jak i w dolinach. W klimacie wilgotnym oraz suchym. Kiedyś Sariska słynęła z mnogości tygrysów, o czym świadczy choćby wystrój stylowej leśniczówki, pełnej olbrzymich, aczkolwiek już mocno wydeptanych i wyleniałych skór, straszliwych łbów z wyszczerzonymi zębami i błyszczącymi szklanymi oczami, fotografii słynnych pogromców tygrysów, strojnych w turbany i pozujących na tle trofeów.

Powrót tygrysa

Na początku tego wieku tygrysie pogłowie szacowano w Indiach jeszcze na ponad 40 tysięcy sztuk. Bardzo majętni amatorzy silnych wrażeń i handlarze skór, tak rodzimi, jak przybywający do tego kraju z całego świata, siali jednak ogromne spustoszenie. Maharadża Sargudży przechwalał się, że ma na swym koncie 1157

Stada zwierząt w rezerwacie bez obawy przyglądają się turystom

zastrzelonych tygrysów! Inny indyjski książę, maharadża Alwaru, poprowadził z tego miasta wspaniałą asfaltową drogę w głąb dżungli, aby szybko i wygodnie docierać ze swą świtą i licznymi utytułowanymi zagranicznymi gośćmi na miejsce łowów.

Przez dziesiątki lat trwały owe krwawe zabawy i wiele wskazywało na to, że ten wspaniały gatunek zwierząt zostanie nad Gangesem doszczętnie wytępiony. Spis tygrysów przeprowadzony w 1972 roku wykazał, że pozostało ich już tylko 1827 (jak można to było obliczyć z dokładnością co do jednej sztuki, nie mam pojęcia...).

Podniosła się wrzawa, uderzono na alarm. Zaczęto bardzo surowo przestrzegać zakazu polowania na tygrysy, wprowadzonego w 1970 roku, wzięto się ostro za kłusownictwo, rząd przeznaczył duże fundusze na rezerwaty dla tygrysów. Jest ich dziś piętnaście, obejmują ogromny obszar ponad 20 tys. km kwadratowych.

Może się wam wydać, że w tak wielkim kraju jak Indie łatwe to zadanie. Otóż wcale nie. I tam już tereny porosłe dżunglą kurczą się, a mieszkańcy wielu rejonów żyjący z lasu, wycinania drzew, zbieractwa i myślistwa protestują, gdy zabrania się im wstępu do parków narodowych (jest ich w sumie 44, plus 207 rezerwatów). A chodzi nie tylko o to, by tygrysy miały spokój, lecz żeby żyły w naturalnym środowisku w otoczeniu innych zwierząt, na terenach zasobnych w czystą wodę, bogatą roślinność itp. Poza tym każdy tygrys, aby normalnie żyć, powinien mieć do dyspozycji co najmniej 14 km kwadratowych, co jednak okazało się nieosiągalne i dziś musi się zadowalać tylko nieco ponad czterema km kw. Ma to fatalne skutki, o czym później...

Nowy rozdział w życiu indyjskich tygrysów rozpoczął się wiosną 1973 roku, kiedy to ówczesna pani premier Indira Gandhi udała się do Corbett Parku proklamując tam rozpoczęcie Operacji „Tygrys", i tym samym podkreślając, że wśród wszystkich zwierząt żyjących w Indiach one właśnie są największą narodową chlubą.

Efekty są nadzwyczajne: w ciągu dziesięciu minionych lat ten gatunek, omalże bliski już wymarcia, fantastycznie się odrodził i rozmnożył. Jego pogłowie wzrosło ponad dwukrotnie i szacuje się je obecnie na ponad cztery tysiące sztuk. Jest to powód do radości, ale także i przyczyna niemałych kłopotów, w rezerwatach bowiem tak się tygrysów namnożyło, że są nadmiernie stłoczone. Nie służy to ich zdrowiu i dobremu samopoczuciu. Stają się nerwowe, agresywne, walczą zawzięcie między sobą o swój teren. W ubiegłym roku tylko w Corbett Parku ta zacięta rywalizacja zakończyła się śmiercią osiemnastu tygrysów i jednej tygrysicy. Podobnie było w innych rezerwatach.

Zbytnie zagęszczenie zwierząt zmusza je też do wypraw poza wydzielone obszary. Porywają z okolicznych wsi bydło, napadają też na ludzi. Krążą wokół domostw, czają się nocą przy drogach, podchodzą pod bungalowy, w których nocują turyści. Łagodne z natury, przekształcają się w groźne bestie, łaknące ludzkiej krwi. Wycieczki do niektórych rezerwatów zaczynają stawać się po prostu ryzykowne.

Szczególnie dużo tygrysów „ludojadów" grasuje w dżunglach przylegających do rezerwatu Sunderbans w Bengalu Zachodnim. Tamtejsi chłopi, w czym może być zresztą sporo przesady, twierdzą, że w ostatnich czasach rokrocznie rozbestwione Operacją „Tygrys" drapieżniki pożerają ponad setkę ludzi i kilka tysięcy sztuk bydła.

Rząd co prawda wypłaca za to odszkodowania, ale zainteresowani twierdzą, że są one zbyt niskie. Niedawno sołtys wsi Mahan, z której tygrysy porwały do dżungli trzech mieszkańców, namówił chłopów, by wystąpili ze skargą do Sądu Najwyższego, obwiniając tych, którzy otaczają troską tygrysy – o narażanie na szwank życia ludzkiego. Tylko patrzeć, a podobne komplikacje mogą nastąpić również z krokodylami, bowiem i one znalazły się tu pod ścisłą ochroną, aby amatorzy cennych krokodylich skór nie wytępili tych coraz rzadszych w Indiach gadów.

Pewno czytacie o tym wszystkim z pewnym zdziwieniem, bo często pisze się, że religia hinduizmu zakazuje stosowanie wszelkiego gwałtu, zabijania – tak ludzi, jak i wszelkiego żyjącego stworzenia. A tymczasem życie niesie ze sobą coś całkiem innego. No cóż. Tak bywa nie tylko nad Gangesem...

JANINA RUBACH-KUCZEWSKA

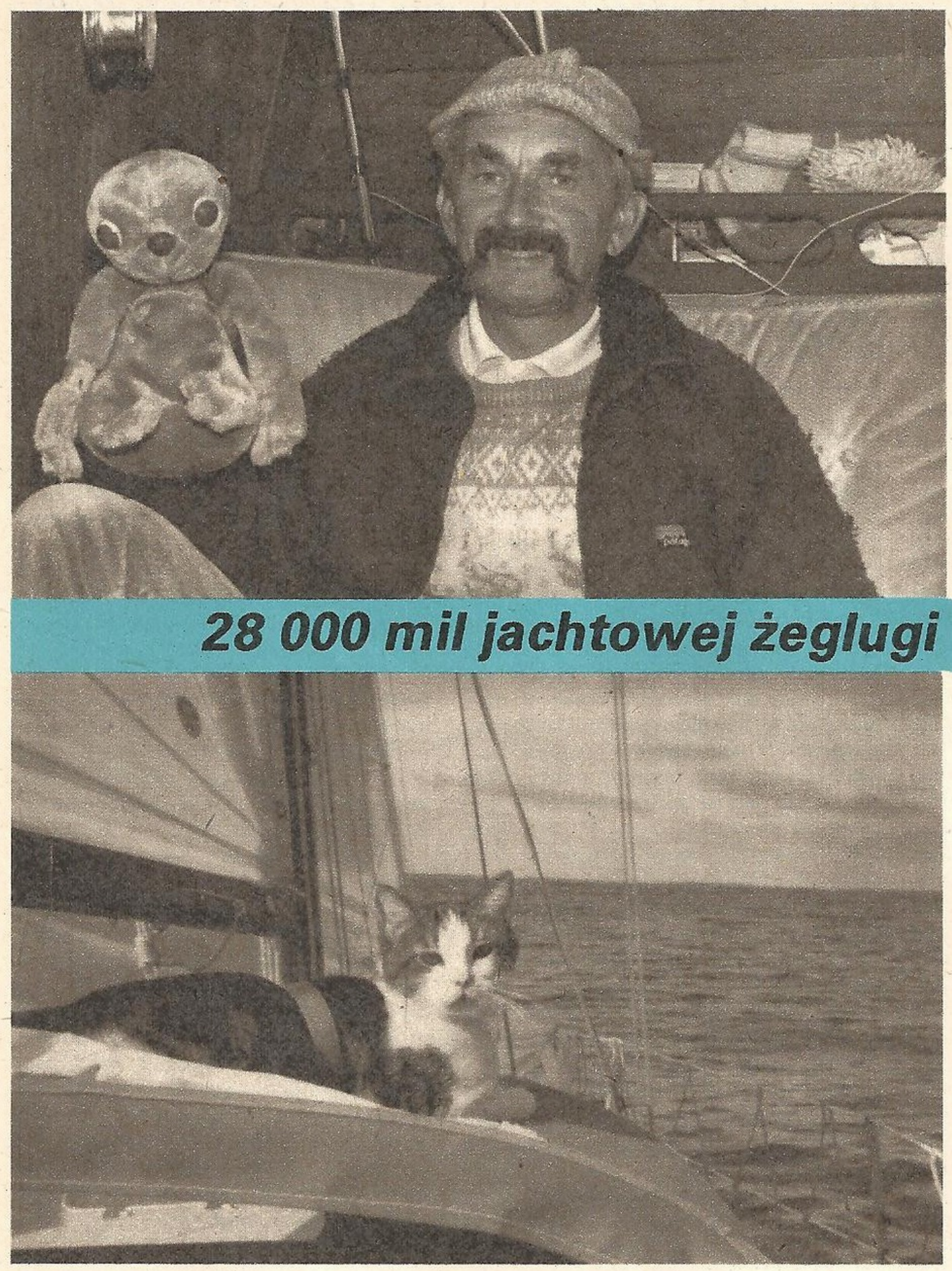

Kapitan Andrzej Urbańczyk z maskotką E.T. w kajucie, a Myszołów – pełni wachtę na pokładzie

(Fot. Urbańczyk & Myszołów)

Z KOTEM »MYSZO-ŁOWEM«

28 000 mil jachtowej żeglugi

DOOKOŁA ŚWIATA

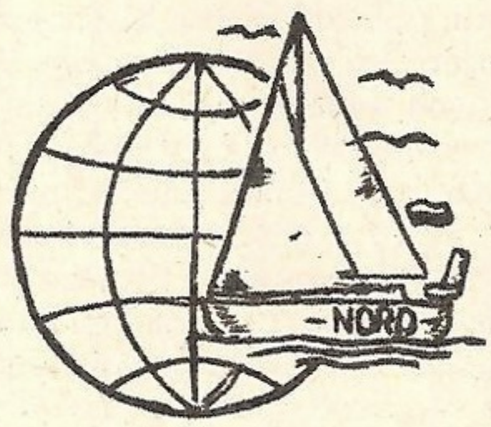

A HOJ! Tak pozdrawiają się żeglarze na całym świecie, więc niech i mnie będzie wolno tak Was pozdrowić, wierząc, że są wśród Was kandydaci na ludzi morza.

Nie wiem, ilu z Was czytało o moich wyprawach. Piszę wprawdzie dla „Płomyka" już od dawna, jednak wielu nowym Czytelnikom wypada się przedstawić. A więc:

Nazywam się Andrzej Urbańczyk.

Urodziłem się w roku 1936 pod znakiem Ryb i chyba dlatego na morzach i oceanach czuję się jak u siebie w domu. Jak zresztą mogłoby być inaczej, skoro żeglowałem, wraz z moją mamą, zanim się jeszcze narodziłem...

Jako małoletni smyk wciąż wyruszałem na wielkie wyprawy po wszystkich pobliskich bajorkach – wracając przemoczony i tak zmarznięty, że lanie, jakie brałem, należało zapewne traktować jako terapię chroniącą przed przeziębieniem...

Pierwszą moją serio eskapadą, której byłem organizatorem i kapitanem, stał się rejs świerkową tratwą NORD przez Bałtyk. Raptem dziesięć dni na morzu – ale wyprawa ta pozostała do dziś, zarówno w mojej pamięci, jak trzech innych członków załogi – jako coś najwspanialszego. Miałem wtedy 21 lat. Zaraz też napisałem pierwszą z moich książek: „Tratwą przez Bałtyk".

Na szczęście wśród żeglarskich szaleństw nie zaniedbałem studiów i ukończyłem chemię na Politechnice Gdańskiej – osiągnięcie bardzo ważne, które pozwoliło mi znaleźć swe miejsce w życiu i świecie.

Już nie pamiętam, ile było tych rejsów! Ważne, że wyszedłem z nich cało, choć były to nieraz ryzykowne wyczyny – na Bałtyku, Morzu Północnym, Adriatyku. Wyszedłem z najprawdziwszym dyplomem kapitańskim, no i kilkoma następnymi książkami, jak i dziesiątkami artykułów.

Potem, w wielce poważnym wieku lat 35 ożeniłem się z najwspanialszą dziewczyną świata – Krystyną, koszykarką gdańskiej Spójni, będącą podobnie jak ja żeglarzem i wspinaczem – bowiem zdobywanie górskich szczytów pociągało mnie zawsze tak samo jak wody oceanów.

Przez kilka lat żyliśmy cicho i szczęśliwie w małym gdańskim domku, aż pewnego razu, całkiem niespodziewanie wyruszyliśmy w świat. Dość szybko za zarobione za granicą pieniądze kupiłem i przebudowałem okrętową szalupę ratunkową. Nazwałem ją NORD II. Tą ciężką, powolną i... mokrą szalupą przeżeglowałem w 30 dni, wraz z kolegą Gerardem, Atlantyk na trasie Wyspy Kanaryjskie–Barbados.

Jeśli pierwsza NORD niosła cztery osoby, a druga dwie – to trzecia powinna nieść tylko jedną. Tak się też stało. Ale, by nie

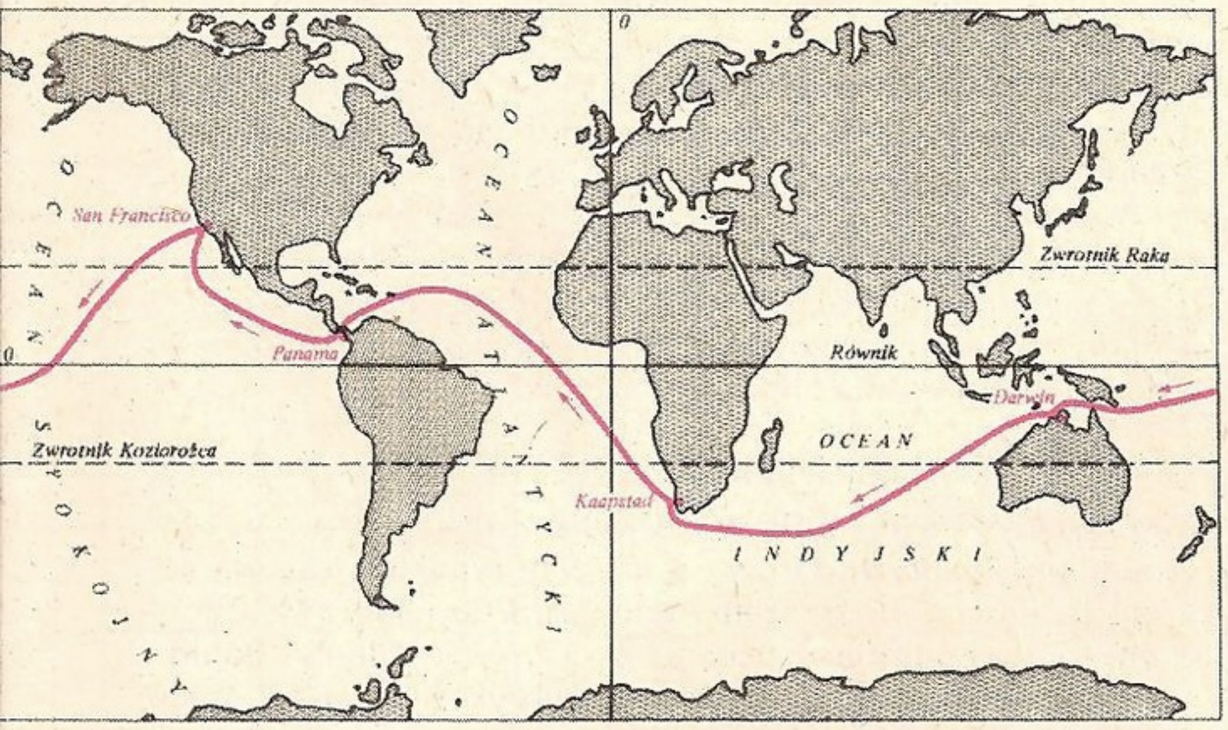

Trasa rejsu „Nord IV"

czuć się zupełnie samotnym, na daleką i co tu dużo gadać niepewną drogę z San Francisco do Japonii zabrałem na 7,5-metrową NORD III dwuletniego kocurka, Myszołowa. Po drodze zatrzymaliśmy się, jako pierwszy polski jacht, na przecudnym Archipelagu Hawajskim. Wtedy dołączyła do nas Krystyna, by wspólnie odwiedzić wszystkie siedem wysp czarownych Hawajów. Opowieść z tej żeglugi zatytułowana „Aloha Hawaii" ma się ukazać nakładem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej.

NORD III, znów z jednym tylko żeglarzem na pokładzie, pokonała trudną trasę do Japonii – było to pierwsze przejście pod biało-czerwoną banderą Północnego Pacyfiku. Po zimowaniu w kraju samurajów i tranzystorów przepłynąłem, w drodze powrotnej, Pacyfik non-stop w rekordowym czasie zaledwie 49 dni.

Pewien rozgłos, jaki zdobyła ta wyprawa oraz to, co o niej pisałem, sprawiły, że postanowiłem dokonać czynu, który jest marzeniem każdego żeglarza: opłynąć naszą Ziemię. Oczywiście, samotnie – to znaczy z kotem Myszołowem.

Nie zaniedbywałem też wspinaczki.

Podczas międzynarodowej wyprawy, której byłem kierownikiem, razem z Krystyną weszliśmy na kilka śnieżnych i niebotycznych meksykańskich wulkanów. Relacje z tej eskapady, jak zresztą i z rejsu przez Pacyfik drukował kiedyś „Płomyk".

SAM Z MYSZOŁOWEM

W 1982 roku zaświtała mi realna nadzieja na samotny rejs wokół Ziemi. Jedna z amerykańskich wytwórni oferowała nowiuteńki jacht żeglarzowi, który podejmie się takiego wyczynu. Oczywiście chętnych było bez liku. Szczęście dopisało i wybrano właśnie mnie do tej niełatwej eskapady. Zadecydowało moje doświadczenie, uznanie, jakie zdobyły moje poprzednie wyprawy, no i ów przysłowiowy łut szczęścia.

„Płyń, jak chcesz, pod jaką chcesz banderą, dokąd chcesz. Ale płyń dobrze!" – powiedział do mnie dyrektor stoczni. Byłem dobrej myśli. Trasę dookoła świata od lat znałem na pamięć, a biało-czerwoną banderę – choć zdrowo postrzępioną – miałem jeszcze z pierwszej świerkowej NORD...

Bardzo Was proszę – drodzy Czytelnicy – nie myślcie, że wszystko jest takie proste i idzie tak gładko! Po prostu w krótkim artykule nie sposób to opisać. Do walki o jacht startują setki, wygrywa jeden. Potem zaczyna się walka o sprzęt, fundusze itp. Przygotowanie musi być niezwykle staranne, bo oceany nie znoszą improwizacji. Ci, którzy wyruszają źle przygotowani, tracą jachty, a nieraz też życie...

NORD IV i jej wokółziemska podróż została więc dopięta na ostatni guzik: starannie dobrana trasa i ściśle przestrzegany, z zapasem ułożony harmonogram. Orientujecie się przecież, choćby na przykładzie naszego Bałtyku, że to nie wszystko jedno, czy będzie się po nim żeglowało w lipcu czy w styczniu... Zapasowe żagle, zapasowe mapy, zapasowe kotwice, rezerwowe liny. Ostrożność i jeszcze raz ostrożność!

Jacht mój mierzył tylko 9,5 metra i o tym musiałem zawsze pamiętać. Musiałem też pamiętać, że wyruszając na oceany „rzucałem na szalę" nie tylko nowiuteńki, pełen drogiego sprzętu jacht, kota Myszołowa i siebie, ale też w jakimś sensie wszystkie poprzednie wyprawy – cały swój honor żeglarski.

Ale też nie udawałem bohatera. Nie mówiłem o grożących mi straaasznych niebezpieczeństwach. Starałem się traktować tę wielką przygodę w sposób jak najbardziej naturalny. Nie ukrywałem, że zabieram ze sobą fotografię Krystyny, gitarę i zapas chałwy, za którą przepadam. Nie zabrałem natomiast, zresztą jak zawsze, radia krótkofalowego – uważam bowiem, iż gdybym mógł w każdej chwili rozmawiać z domem czy kolegami, nie byłbym tak naprawdę samotnym żeglarzem.

19 maja, bez świadków – nie lubię bowiem pożegnań – odcumowałem od nabrzeża San Francisco Marina. Wschodzące słońce oświetliło moją gładko ogoloną głowę (to dla oszczędności wody), uwiązanego na linie asekuracyjnej Myszołowa i wydęte lekką bryzą żagle. Stuknął licznik logu odmierzający przebytą drogę. „Pierwsza mila za nami – zostało już tylko 27.999" – powiedziałem do swego futrzanego towarzysza.

Miałem wszystko, co jest potrzebne dla opłynięcia w pojedynkę oceanów świata. Posiadałem znakomity jacht, wyposażony w samoster, który prowadzi żaglowiec, gdy załoga śpi lub zajmuje się jedną z dziesiątek funkcji, takich jak nawigacja, gotowanie, sprzątanie, naprawianie osprzętu czy pisanie reportaży. Miałem zapas wody na sto dni i na taki sam czas zapasy żywności – proste jarskie jedzenie złożone z jarzyn i zup w puszkach, suszonych owoców, słodyczy, razowego chleba...

Miałem też kilka aparatów fotograficznych, dwie kamery filmowe, dwa magnetofony dla uwiecznienia wszystkiego, co interesujące. Nie zabrałem jednak ani wędek, ani amunicji do mojej strzelby, uważam bowiem, że niczego nie należy zabijać – przeciwnie, trzeba oferować przyjaźń każdemu stworzeniu. Tego nauczono mnie w świątyniach Zen, podczas zimowania w Japonii. Tego domagał się kosmiczny włóczęga ET – oficjalna maskotka wokółziemskiej podróży NORD IV.

DO AUSTRALII

Pierwszy etap rejsu prowadził prosto jak strzelił do Australii. Niemal osiem tysięcy mil non stop. Obaj z Myszołowem szybko weszliśmy w rytm samotnej żeglugi. Sen w dzień, gdy noc wymagała stania przy sterze. Obiad o północy, gdy żołądki załogi zaczynały protestować przeciwko pozbawieniu ich strawy, jakiej nie miał czasu przyrządzić zajęty nawigacją żeglarz. Nie leniłem się nigdy i wyskakiwałem z koi, nawet dziesięć razy w ciągu nocy, jeśli żagle tego wymagały. Nie leniłem się i pisałem nawet dwadzieścia stron dziennie, kiedy przychodziło mi do głowy coś ciekawego.

Tak jak zawsze nie czułem się samotny w sensie opuszczenia, smutku czy bezradności. Tak jak zawsze znalazłem na oceanie dom, w którym było mi dobrze. Właśnie w tym nastroju powstała jedna z licznych rejsowych piosenek. Śpiewana najpierw Myszołowowi, potem Krystynie, która przylatywała spotykać się z nami na portowych postojach. Piosenka ta (wraz z gitarą i przezroczami) zabawiała później moich słuchaczy na spotkaniach z miłośnikami żeglarstwa.

Oto początek piosenki zatytułowanej „Mój dom":

Piszesz mi Moja Mała, że jest Ci smutno i żal,
że ja pod tropikami – samotny, bezdomny jak wiatr.
Nie martw się Moja Jedyna, znalazłem i tutaj dom.
Nie ma do niego kluczy, lecz kąty przestronne są.

Z gwiazd dach, z horyzontów ściany, a widok aż zapiera dech.
Tylko ta jedna fatalna rzecz, że podłoga ciągle kiwa się.
Kiwa się, kiwa się, kiwa się...

Tak to śpiewając, pracując ciężko, ale nie tracąc humoru, załoga NORD IV przebyła równik urządzając tradycyjny chrzest nowicjuszowi, Myszołowowi. Spotykaliśmy pogody dobre

i złe. Upalne słońce, tropikalne słoty, podwójne tęcze i nocne szkwały. Odwiedzały nas delfiny, wieloryby, a ptaki sypiały nocą w olinowaniu.

Przez usianą rafami Cieśninę Torresa – przebytą w brawurowej szarży i w rekordowym czasie, przez zielone Morze Arafura, NORD IV dotarła do gościnnych brzegów Australii.

Tam, po 68 dniach podróży non-stop, jacht zatrzymał się, a kotwica opadła na skaliste dno. „Gdzie reszta załogi?" – zapytano z motorówki celnej. „Oto ona" – zawołałem podnosząc wysoko w górę spasionego na latających rybach Myszołowa. Pierwszy z czterech wokółziemskich etapów był zakończony. Należał się nam zasłużony odpoczynek. Ale jak tu próżnować, gdy Krystyna przyleciała do Darwin, gdzie się zatrzymała, z pękami listów, na które trzeba było odpisać, i z zamówieniami na artykuły w... pięciu językach.

Pracowaliśmy więc tęgo. W żarze tarasu jachtklubu, we wściekłym kołysaniu zakotwiczonego jachtu. Ale starczyło też czasu na zwiedzenie okolicy, na przelot przez cały kontynent Australii do Sydney, na występy w wielu miastach, w tym na wielki show w naszej ambasadzie...

Jacht w tym czasie odpoczywał pod opieką Myszołowa, któremu na wszelki wypadek dodano do pomocy młodego australijskiego żeglarza – zamieszkał on na NORD IV na czas naszych wojaży.

Nadszedł jednak dzień, gdy Krystyna, zabierając stosy rejsowych zapisków, artykułów i książek, bumerangi, fotografie kangurów i koala, odleciała, by z domu wspierać moją eskapadę. Wkrótce i ja opuściłem gościnny kontynent. Jacht, lśniący i zaprowiantowany, rozpoczął drugi etap podróży. Najtrudniejszy, prowadzący przez burzliwy Ocean Indyjski. Kolejne siedem tysięcy mil – do Kapsztadu w Afryce.

PRZEZ „INDYK" DO AFRYKI

Na zawsze zapamiętałem niezwykłe srebrzyste chmury tego niespokojnego oceanu. Jego kapryśną pogodę – cisze gwałtownie przechodzące w sztormy, wysokie fale, nocą – cudowne bezdenne niebo. Popędzałem jacht, jak tylko mogłem, mknąc na zachód i umykając przed nadciągającym sezonem cyklonów.

Ocean Indyjski jest oceanem pustym, czasem tylko, od wielkiego święta, ukaże się na horyzoncie sylwetka statku. Nigdy nie zobaczy się białych żagli jachtu. Jeśli kiedyś zaznałem prawdziwej samotności, było to właśnie tutaj. Ale nie czułem się źle. Bo w życiu albo jesteśmy zawsze samotni, nawet w tłumie, albo też nigdy, nawet gdy najbliżsi ludzie są o tysiące mil... W takich chwilach myślałem o Krystynie, o moich przyjaciołach i o milionach ludzi różnych ras, których, choć nie znałem – wydawali mi się teraz jacyś bardzo bliscy.

Na drugim etapie wokółziemskiej podróży czekała mnie najtrudniejsza z przepraw – opłynięcie słynącego z burzliwej pogody Przylądka Dobrej Nadziei. Gotowałem się na ten moment od dawna, dlatego też trochę rozśmieszyło mnie, że Neptun dał się nam we znaki nie wściekłymi sztormami, ale bezlikiem cisz, szarpiących nerwy, bo opóźniających bieg jachtu wciąż wymykającego się cyklonom – tej najstraszniejszej grozie oceanów. W takich właśnie ciszach, przerywanych lekkim wiaterkiem, załoga NORD IV opłynęła groźny Przylądek opuszczając Ocean Indyjski. Ale ten „Indyk" – jak go przezwałem, nie byłby indykiem, gdyby nie zagulgotał choć raz solidnie. Wiatr zaczął ryczeć w olinowaniu, a istne góry wody zwaliły się na małą NORD IV.

Na szczęście „Indyk" spóźnił się! Brawurowym manewrem jacht przebił się przez sztorm, opuszczając wściekłe wody i wywalczając sobie bezpieczną drogę do portu. Wkrótce na horyzoncie pokazały się wysokie góry Czarnego Kontynentu. Afryka zapraszała nas na kolejny postój. Mimo cisz i kapryśnych wiatrów jacht raz jeszcze zdał egzamin przychodząc na dwie doby przed terminem. Zdążyłem posprzątać kajutę, wysuszyć zalane sztormowymi falami rzeczy, przebrać się i... z bukietem afrykańskich kwiatów odebrać Krystynę z lotniska.

Gwiazdkę spędziliśmy na polskich statkach rybackich wchodzących do Kapsztadu na wymiany załóg. Choinka, barszcz z uszkami, mak przypominały nam daleką Polskę, która zbiegiem okoliczności leży na tej samej długości geograficznej co południowy cypel Afryki.

Kilka wypadów w głąb afrykańskiego lądu, kilka przyjęć i występów na gościnnych polskich statkach i znów pisanie pochłonęło nas bez reszty. Czytelnicy domagali się dalszych wiadomości o Myszołowie i NORD IV, listy przypominały o obowiązku kręcenia filmów...

ZAMYKAMY PĘTLĘ

Po Nowym Roku, NORD IV odświeżona i pełna prowiantów, w tym smakowitych darów od naszych rybaków, ruszyła na trzeci z oceanów – tym razem Atlantycki. Znów sam z Myszołowem, znów w bezmiarze oceanu. Na szczęście Atlantyk Południowy jest oceanem łagodnym. Po wybrykach „Indyka" było prawdziwą ulgą pędzić na skrzydłach pasatu wyciągając do 150 mil na dobę, bez żadnych bojów i zmagań. Uwiązany na linie asekuracyjnej, mogłem całymi godzinami podziwiać piękno nieba, zmienność barw wody, bajeczne formacje chmur. Kot łowił latające ryby i kłócił się z delfinami mijającymi w susach jacht. Ja dumałem o świecie, życiu i planach na przyszłość.

NORD IV przeszła równik, tracąc kilka dni, gdy kiwała się bezradnie, obezwładniona ciszą, i skręciła na zachód ku Panamie – trzeciemu i ostatniemu z portów na naszej wokółziemskiej trasie. Znów pędziłem jacht z całych sił, nie żałując nocy przestanych przy sterze. Trzeba było ostro nadrobić stracone dni. Opłynąć świat w czasie jednego roku, co było moją żeglarską ambicją.

Panama! Atlantyk za rufą! Trzeci z etapów przebyty! Prędzej, prędzej. Szkoda czasu na porty! Zaledwie kilka dni i dziób jachtu kroi już wody czwartego z kolei oceanu. Stop, zagalopowałem się – to przecież Pacyfik, nasz dobry znajomy – wróciliśmy nań po niemal rocznej nieobecności! Teraz w górę, pod wiatr i prąd ostatniego etapu: do San Francisco! Zamykamy pętlę wokół naszej planety. 25 000 mil w 359 dni, a odliczając postoje w portach to zaledwie 230 dni.

„Opływając samotnie Ziemię doznałem dziwnego uczucia, iż otrzymuję ją w jakiś sposób na własność. Jest to uczucie bardzo poetyckie, lecz bardzo też jakoś realne" – napisałem w którymś z reportaży z rejsu.

Jeszcze kilka tygodni tłuczenia się pod fale, jeszcze kilka mokrych nocy i cumy NORD IV oplotły słupy przystani jachtowej w San Francisco. Dokładnie te same, przy których staliśmy rok temu, szykując się do wielkiej niewiadomej.

Tak oto zakończył się nasz rejs, trwający łącznie 406 dni na trasie 28 000 mil. Wraz z kotem Myszołowem – wiernym towarzyszem – powróciliśmy do portu witani przez żeglarzy i reporterów, a ponad wszystko przez Krystynę.

„Oceany są zawsze silniejsze" – powiedziałem dziennikarzom – śmieszne jest mówić o ich pokonywaniu. Przepływamy przez ich bezmiar nie pozostawiając na nich nawet śladu. Przepływamy – jeśli w swej łasce na to pozwalają...

ANDRZEJ URBAŃCZYK

Za swój wyczyn kpt. Andrzej Urbańczyk otrzymał w tym roku najwyższe żeglarskie trofeum – nagrodę SREBRNY SEKSTANS i tytuł ŻEGLARZA ROKU 1984. Na uroczystość – coroczną ceremonię w gdańskim Ratuszu Staromiejskim – przybył osobiście, co niektórzy z Was oglądali zapewne w telewizji. Był także w naszej redakcji, odnawiając dawną znajomość. Obiecał wówczas podzielić się swymi wrażeniami z wielkiego rejsu. Obietnicy dotrzymał!

(red.)

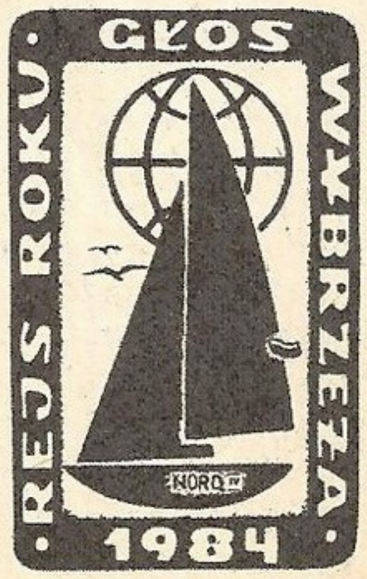

Międzynarodowy Rok Młodzieży obchodzony jest pod hasłem: „Uczestnictwo – Rozwój – Pokój"

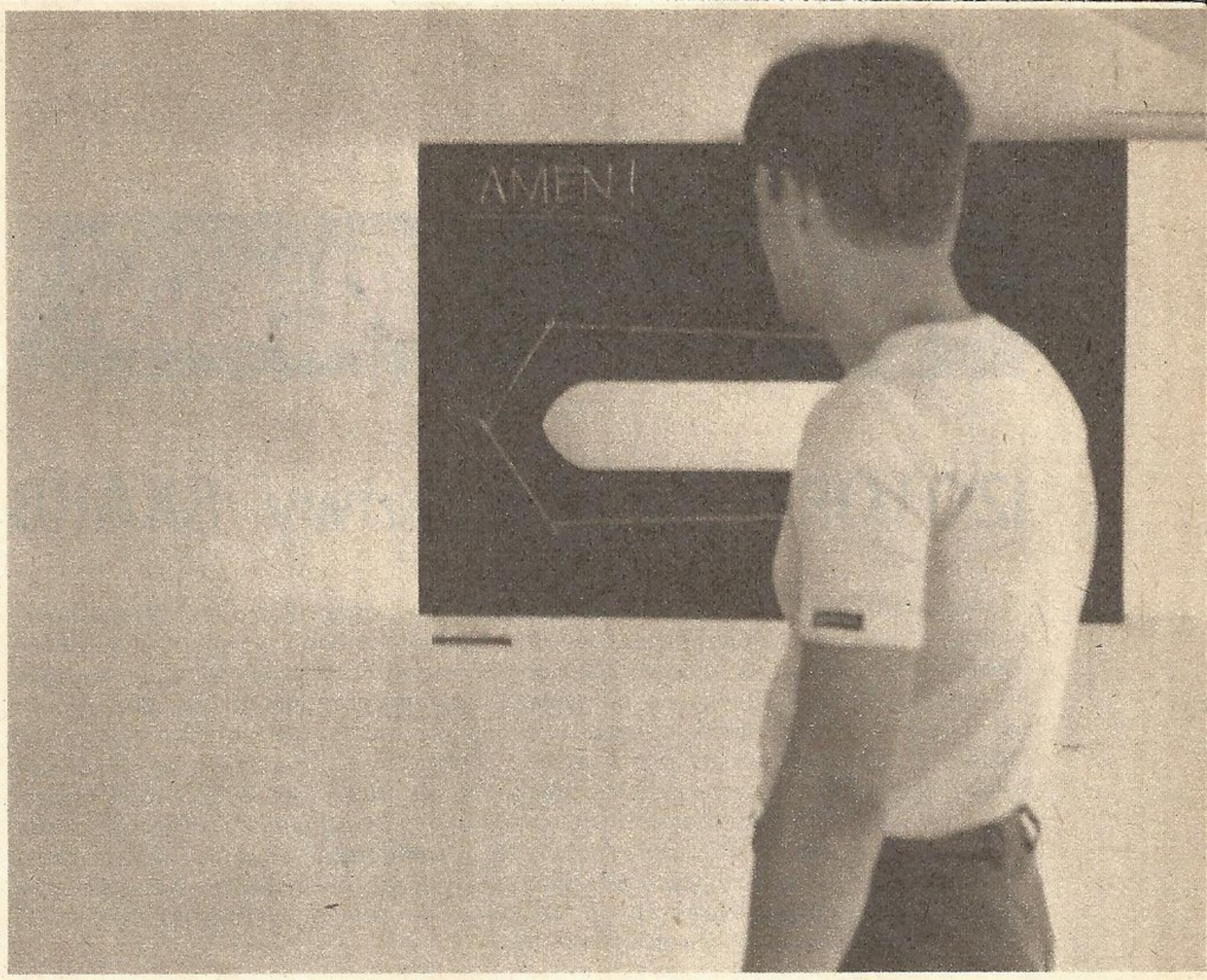

Rok 1985 obfituje w różnego rodzaju międzynarodowe imprezy poświęcone młodzieży, organizowane przez młodzież, służące zbliżeniu, lepszemu zrozumieniu i nawiązywaniu więzi przyjaźni i współpracy pomiędzy młodymi ludźmi na całym świecie.

JA TEŻ CHCĘ, ŻEBY BYŁ POKÓJ!

Największą z tych imprez był XII Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Moskwie, w którym uczestniczyło 20 tysięcy przedstawicieli młodzieży ze wszystkich stron świata. Ale w ciągu całego bieżącego roku w różnych krajach organizuje się też wiele spotkań, dyskusji, konkursów artystycznych tworzących wspólnie bogaty program Międzynarodowego Roku Młodzieży – proklamowanego przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Odbywają się one pod hasłem: „Uczestnictwo – Rozwój – Pokój", propagującym jak największy udział młodych pokoleń w rozwijaniu pokojowej współpracy wszystkich ludzi świata.

Działanie na rzecz tej wielkiej idei przybiera różne formy. Od wielkich antywojennych manifestacji – aż po spotkania niewielkich grup młodych ludzi o wspólnych zamiłowaniach i talentach.

Nasz fotoreporter odwiedził niedawno w Toruniu wystawę prac plastycznych nadesłanych w związku z Międzynarodowym Rokiem Młodzieży przez młodych artystów z 30 krajów świata.

Główną Wielką Nagrodę (Grand Prix) otrzymał radziecki plastyk za plakat zatytułowany „AMEN!", widoczny na naszym zdjęciu. Można podziwiać niezwykle prosty sposób wyrażenia myśli: sylwetka śmiercionośnej bomby, symbol wojen, zamknięta w geometrycznym kształcie niedwuznacznie przypominającym trumnę, a nad tym tylko jedno słowo – „amen" czyli „niech się tak stanie" (w jęz. hebrajskim). Ta właśnie lapidarność, czyli zwięzłość i dobitność treści plakatu, przy najdalej posuniętej prostocie formy, zdecydowały o sukcesie młodego artysty.

Sukcesem zaś fotoreportera jest drugie zdjęcie z tej wystawy, które można by zatytułować: „Ja też chcę, żeby był pokój!"

Fot. PRZEMYSŁAW WIERZCHOWSKI

Nadchodzi XXI wiek

IZOTOPY to prawdziwy SKARB

Dokładnie przed 90 laty niemiecki uczony, Wilhelm Conrad Roentgen, wykrył nowy rodzaj przenikliwego promieniowania elektromagnetycznego – promienie X, nazwane dziś jego nazwiskiem. A zaledwie rok później prawdziwą sensację w nauce wywołał Francuz Henri Antoine Becquerel, odkrywając naturalną promieniotwórczość uranu. To były pierwsze sygnały, że świat może być inny, niż jawi się naszym oczom. Trzy lata później Maria Skłodowska-Curie i jej mąż Piotr Curie – ujawnili istnienie dwóch kolejnych promieniujących pierwiastków – polonu i radu. Taki był początek badań, które w następnych kilkudziesięciu latach dokonały prawdziwego przewrotu w wielu dziedzinach nauki i techniki, a człowiekowi dały do ręki potężne, choć groźne narzędzie – izotopy promieniotwórcze. Narzędzie, którego przyszłych zastosowań dziś jeszcze nie sposób sobie w pełni wyobrazić, ale już jednak obecne ich zastosowanie świadczy o nieograniczonych możliwościach izotopów.

Izotop – co to takiego?

Atom jakiegoś pierwiastka, odznaczający się nieco inną budową jądra, a konkretnie większą liczbą neutronów – czyli taki, którego jądro jest cięższe – zwany jest izotopem danego pierwiastka. Izotopy mogą być trwałe i wówczas nie emitują żadnego promieniowania. W innych – stan jądra jest nietrwały i te właśnie wydzielają promieniowanie.

Niektóre pierwiastki radioaktywne, jak np. rad, stworzyła sama przyroda – choć zazwyczaj w bardzo niewielkich ilościach. Jednak większość materiałów promieniotwórczych produkuje człowiek, poddając atomy „obróbce" w reaktorach jądrowych lub też w akceleratorach – urządzeniach pobudzających atomy do ogromnych prędkości.

Sztuczną promieniotwórczość odkryto zaledwie przed pół wiekiem. 106 znanych nauce pierwiastków (wśród nich także 13 wytworzonych sztucznie) występuje w postaci ponad 1600 odmian izotopowych – z czego zaledwie ponad 350 istnieje w przyrodzie w stanie naturalnym. Wszystkie pozostałe to rezultat zabiegów „atomowej inżynierii". Czemu one służą?

Zacznijmy od anegdoty

Na historię nauki nie składają się na szczęście same tylko uczone rozprawy, lecz tworzą ją również anegdoty. Tak właśnie było z bodaj pierwszym w dziejach praktycznym zastosowaniem izotopu promieniotwórczego. Bohaterem owego wydarzenia był młody wówczas uczony pochodzenia węgierskiego, Gyoergy Hevesy, późniejszy laureat nagrody Nobla (w 1943 r.), jeden z pionierów użycia substancji radioaktywnych w badaniach chemicznych i biologicznych.

Rzecz wydarzyła się w roku 1911 w angielskim Manchesterze, gdzie Hevesy jako młody asystent pracował nad wyodrębnieniem niektórych naturalnych materiałów radioaktywnych. Nie zarabiał zbyt wiele i mieszkał w skromnym, wynajętym lokalu, gdzie stołował się u gospodyni. Po pewnym czasie jego uwagę zwróciła regularność dań, powtarzających się w tygodniowym menu. Młody uczony nabrał podejrzeń, że skąpa właścicielka podaje mu posiłki przygotowane z wykorzystaniem resztek z dni poprzednich. Nie miał jednak pewności. By sprawdzić swe domysły – do pozostawionych na talerzu resztek posiłku dodał nieco substancji radioaktywnej. Teraz pozostawało tylko czekać. Gdy po niedługim czasie otrzymał tę samą potrawę, Hevesy za pomocą elektroskopu stwierdził, że jest ona radioaktywna. Dodajmy, że chytra gospodyni okazała jednak niewiele zrozumienia dla tego historycznego eksperymentu i wymówiła mieszkanie „magikowi" – przyszłemu laureatowi nagrody Nobla.

Od czasu owego pierwszego, zapewne, praktycznego zastosowania, izotopy promieniotwórcze służą człowiekowi w najrozmaitszych dziedzinach, a współczesne przyrządy pomiarowe precyzyjnie wskazują natężenie promieniowania i jego rodzaj. Umożliwiają w ten sposób dokładne jego dozowanie. Przez wieki alchemicy poszukiwali „kamienia filozoficznego" i możliwości sztucznego wytworzenia złota; dziś produkuje się setki cenniejszych od złota izotopów, stosowanych w przemyśle, rolnictwie, badaniach naukowych. Promieniotwórcze złoto służy też np. medycynie: wstrzyknięte do określonego miejsca organizmu niszczy guzy nowotworowe. O współczesnych i oczekiwanych przyszłych zastosowaniach radioizotopów (czyli izotopów promieniotwórczych) napisano niejedno opasłe tomisko. Prześledźmy wspólnie tylko kilka przykładów, dających przegląd możliwości w tej dziedzinie.

Poszukiwacz skarbów

W rękach uczonych izotopy stały się prawdziwą magiczną pałeczką umożliwiając np. poszukiwanie podziemnych skarbów. Okazało się bowiem, że brzegi pokładów ropy naftowej promieniują – koncentrują się tu bowiem substancje radioaktywne, dzięki czemu można dokładnie zarysować na powierzchni Ziemi obszar podziemnego złoża. Wykorzystując domieszki naturalnych substancji promieniotwórczych w poszczególnych minerałach, geolodzy mogą – po zmierzeniu

Rys. Julian Bohdanowicz

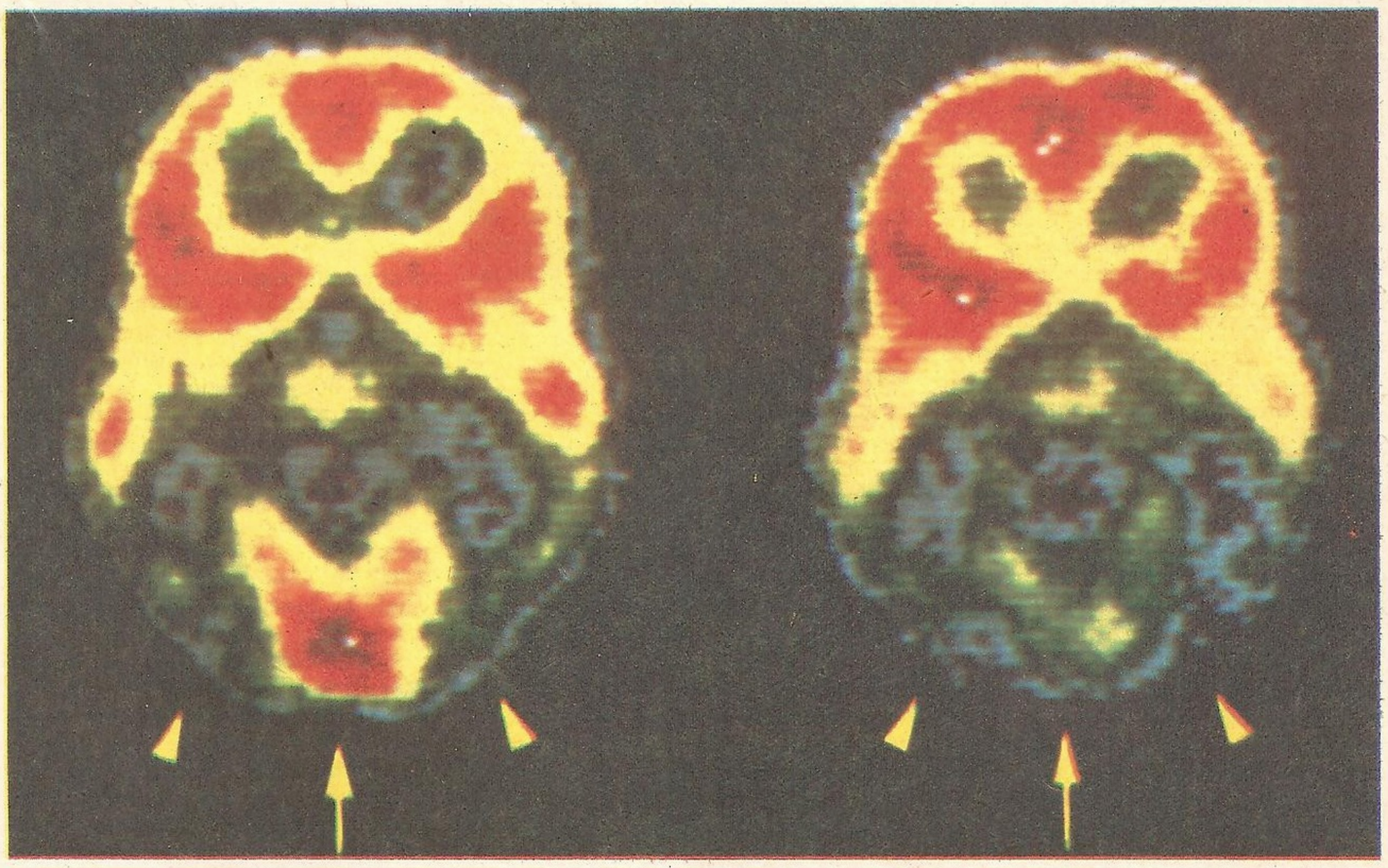

▲ **Jedno z niezwykłych zastosowań izotopów do badań medycznych. Po wprowadzeniu do organizmu pacjenta izotopów promieniotwórczych można śledzić funkcjonowanie pewnych organów i towarzyszące temu przemiany fizyko-chemiczne. W tym wypadku uzyskano tą metodą obraz mózgu człowieka, który ma oczy otwarte (z lewej) oraz, gdy ma oczy zamknięte (z prawej). Rozjaśniona plama w obszarze kory mózgowej, gdzie docierają wrażenia wzrokowe (fot. z lewej) świadczy o tym, że gdy wzrok pracuje – wzrasta w korze mózgowej zapotrzebowanie na cukier.**

tego promieniowania – określić rodzaj skały, a nawet szybko i precyzyjnie zbadać przy pomocy geologicznego odwiertu, jakie kryją się tam bogactwa. Nie trzeba w tym celu żmudnie wydobywać próbek; wystarczy spuścić do otworu silne źródło promieniowania i liczniki, które mierzą stopień rozproszenia radiacji. Takie izotopowe czarodziejskie różdżki umożliwiły już odkrycie licznych złóż ropy naftowej, węgla soli, potasowych.

Promieniowanie izotopów pomaga też np. wyławiać diamenty z rudy przesuwającej się na taśmociągu; choć dobrze w niej ukryte – rozbłyskują w promieniach gamma silnym blaskiem i stają się łatwe do wykrycia.

Urządzenia izotopowe pomagają współczesnym górnikom: rejestratory promieniowania sterują np. ruchem kombajnów węglowych, mogą też wykryć w rumowisku po odstrzałach ewentualne niewypały, jeśli uprzednio doda się radioizotop do materiału wybuchowego. Oczekuje się, że promieniowanie emitowane przez izotopy usprawni automatyczne sortowanie węgla i oddzielanie zaśmiecającego go kamienia.

Wykorzystując izotopy, można nie tylko szybciej wykrywać, ale łatwiej i bezpiecznie wydobywać podziemne bogactwa; umożliwiają one też współczesnym chemikom wytwarzanie cennych produktów. Na świecie powstały już liczne fabryki „atomowej chemii", w których dzięki promieniowaniu izotopów uzyskuje się przy pomocy prostszych i tańszych metod różne substancje i materiały – w dodatku często o wiele trwalsze. W ten sposób otrzymujemy np. odporniejsze tworzywa sztuczne. Możemy też trwale łączyć ze sobą związki organiczne i nieorganiczne – np. kauczuk i tkaniny z włókien syntetycznych, otrzymując m.in. superodporne opony do samolotów.*

Promieniotwórczy człowiek

Radiacja pierwiastków promieniotwórczych może być mniej lub bardziej silna. Kryją się one także i w naszym organizmie. Są to wprawdzie ilości śladowe – ale zawsze... W ciele dorosłego człowieka, dzięki precyzji dzisiejszych urządzeń pomiarowych, można wykryć takie pierwiastki jak tor, rad i uran, oczywiście zaledwie w miliardowych częściach grama. Wszyscy poddani jesteśmy stale działaniu promieniowania kosmicznego i substancji promieniotwórczych w powietrzu, wodzie, glebie.

Do ludzkiego organizmu celowo wprowadza się niekiedy radioizotopy. Atom izotopu promieniotwórczego emituje cząstki promieniowania (nazwanego – zależnie od jego rodzaju – alfa, beta lub gamma). A więc nawet wtedy, gdy po wprowadzeniu do wnętrza ciała ludzkiego stanie się niedostrzegalny dla elektronowych mikroskopów – można śledzić jego położenie, dzięki owemu promieniowaniu. I ta właśnie metoda „atomów znaczonych promieniowaniem" służy biologii i medycynie. Możliwości, jakie daje, trudno tu wyliczyć; praktycznie do każdej substancji, każdego pierwiastka można dodać izotopy promieniotwórcze i zbadać następnie drogę ich wędrówki. Można też skontrolować, gdzie i jakie ilości określonego pierwiastka zatrzymuje w sobie ludzki organizm.

Korzyści wynikające z tego dla badaczy i lekarzy są oczywiste. Medycyna zna dziś dokładne rozmieszczenie wszystkich podstawowych dla żywego organizmu pierwiastków – np. fosforu, żelaza, potasu. Dzięki izotopom można określić „długowieczność" czerwonych ciałek krwi; okazało się, że żyją one średnio około 120 godzin. Po wstrzyknięciu promieniotwórczej wody okazało się, że woda stanowi przeciętnie 60,4 procent masy ciała młodego człowieka (policz, ile to litrów zawiera twój organizm, jeśli litr wody ma masę jednego kilograma...)

Zmiany w owej „mapie" rozmieszczenia pierwiastków i inne odstępstwa od normy, także wykrywane przy pomocy

* Tym, którzy chcą szerzej poznać zastosowania izotopów, polecamy książkę Zdzisława Kazimierczuka „Wszechwiedzące izotopy" wydaną przez „Wiedzę Powszechną" w serii „Omega".

izotopowych badań, są bezcenną wskazówką dla lekarzy, a ułatwia to określenie choroby i metody jej leczenia. I tu coraz częściej stosuje się radioizotopy. Najpierw więc gamma-kamera bada przemieszczanie się wstrzykniętego pacjentowi radioizotopu. Urządzenie to wspomaga często komputer, który zapamiętuje obraz przestrzenny, trójwymiarowy – i na żądanie pokazuje jego dowolny fragment. Potem, w razie wykrycia nowotworu, do akcji rusza izotop – kobalt-60, tzw. „bomba kobaltowa", sterowana znów przez komputer. Naświetla ona z różnych stron guz, niszcząc zrakowaciałą tkankę. Do wnętrza guza można też wprowadzić „mini-bombki" różnych izotopów promieniotwórczych, spiekanych ze szklanym proszkiem w maleńkie kuleczki. Ich promieniowanie może mieć zasięg zaledwie paru milimetrów – niszcząc guz od środka bez naruszania zdrowej tkanki.

Izotopy i plony

Jedna z dziedzin, w których radioizotopy stosuje się coraz szerzej i z dużym powodzeniem – to rolnictwo i przemysł spożywczy. Izotopowe mierniki o wyglądzie wielkich cyrkli – ze źródłem promieniowania na jednym, a jego licznikiem na drugim ramieniu – służą do szybkiego pomiaru wilgotności gleby. Izotopy mogą sterować automatycznym siewem kukurydzy lub sadzeniem ziemniaków w idealnie równych odstępach, liczyć ryby w jeziorze, służyć mierzeniu grubości połcia słoniny na żywej świni (poprzez pomiar promieniowania dodanego do karmy izotopu potasu – pierwiastka odkładającego się głównie w tkance tłuszczowej).

Stosując znaczone radioizotopami nawozy poznano zwyczaje różnych roślin uprawnych. Odkryto np., że podstawowa dla nich substancja odżywcza – dwutlenek węgla – może być wchłaniany także przez korzenie, zaś substancje mineralne – również przez liście. Przy pomocy izotopów bada się też zwierzęta hodowlane; stwierdzono np., że kury na skorupki znoszonych jajek czerpią wapń ze swej tkanki kostnej, która u wydajnych niosek szybciej się dzięki temu odnawia.

Niewielkie dawki promieniowania mogą przyspieszać wzrost i rozwój organizmów. Izotopowe plony przewyższają niekiedy o 30 procent zbiory normalne. Badania tego typu nie przekroczyły jednak (i być może nigdy nie przekroczą) fazy eksperymentów, zbyt wiele bowiem substancji radioaktywnych pozostaje w częściach roślin przeznaczonych do spożycia, co jest szkodliwe. Bardziej obiecująca okazała się natomiast atomowa inżynieria genetyczna – tworzenie, dzięki naświetlaniu nasion lub roślin rosnących na poletkach doświadczalnych, nowych mutacji odmian, bardziej plennych i szybciej dojrzewających.

Coraz większą rolę odgrywają izotopy w przechowywaniu i konserwacji środków żywności. Promieniowanie gamma likwiduje np. kiełkowanie ziemniaków, które dzięki temu znacznie lepiej się przechowują, nie tracąc na wartości. Izotopowe promienie niszczą dokładnie bakterie w mięsie, które w szczelnym opakowaniu może być następnie przechowywane przez parę miesięcy w temperaturze pokojowej. Podobnie dzieje się z innymi produktami. Z kolei alkohole wymagające leżakowania, naświetlane promieniami gamma, starzeją się w parę chwil o dwa-trzy lata...

Izotopowy zegar

Współczesny archeolog ze zdumiewającą dokładnością może określić wiek najróżniejszych starożytnych znalezisk, dysponuje bowiem precyzyjnym zegarem promieniotwórczym, który funkcjonował „od zawsze". Przyjrzyjmy się bliżej jego mechanizmowi, da nam to bowiem pojęcie o niezwykłych możliwościach, jakie jeszcze kryje w sobie promieniotwórczość.

Promieniowanie kosmiczne bombarduje nieustannie ziemską atmosferę. Pod jego wpływem w zawartym w powietrzu azocie tworzą się atomy radioaktywnego izotopu węgla C-14, które są wprowadzane do normalnego obiegu węgla w przyrodzie. W rezultacie C-14 znajduje się w każdej substancji organicznej – i to w ściśle określonej przez naukę ilości: na 1000 miliardów atomów zwykłego węgla (C-12) przypada 1 atom jego radioaktywnego izotopu. Proporcja ta jest stała, ale tylko do chwili ustania procesów życiowych u człowieka, zwierzęcia lub rośliny.

Każdy izotop promieniotwórczy rozpada się, tworząc inny pierwiastek oraz emitując promieniowanie jako swoisty produkt uboczny zachodzących w jego atomowych jądrach przemian. Proces ten przebiega jednak u różnych izotopów z różną prędkością. Dla jej bardziej precyzyjnego określenia stworzono pojęcie rozpadu połowicznego – czasu, jaki jest potrzebny, by z określonej ilości substancji promieniotwórczej pozostała jej połowa. Różnice między poszczególnymi izotopami są tu ogromne: dla jednych okres połowicznego zaniku to milionowa część sekundy, inne – jak uran-238, by zmniejszyć swą ilość o połowę, potrzebują aż 4,6 miliarda lat.

Dla C-14 okres półtrwania wynosi ponad 5500 lat – po tym okresie promieniotwórczość próbki zmniejsza się o połowę. Jaka była za życia człowieka, zwierzęcia lub rośliny – wiemy. Dalej to już tylko kwestia precyzyjnego pomiaru i obliczeń. A przecież pochodzenia organicznego są drewniane budowle, sprzęty, tkaniny. Wiek ich wzniesienia lub sporządzenia może więc archeolog określić nader dokładnie.

Izotopowy zegar wyjaśnił wiele historycznych zagadek. Przy jego pomocy – używając z kolei wspomnianego już uranu-238, który ma bardzo długi okres połowicznego rozpadu, a w dodatku daje, jako produkt końcowy rozpadu, zwykły ołów – sięgnięto do dziejów powstania naszej planety, a nawet całego Kosmosu. Wiek Ziemi określa się obecnie na nie mniej niż 4,6 mld lat, zaś gatunku homo sapiens – na zaledwie około 10 tysięcy lat.

Niebezpieczny skarb

Niemal każdy dzień przynosi nowe zastosowania radioizotopów. Określają podziemne zasoby wód i sterylizuję narzędzia chirurgiczne, analizują substancje hormonalne i nadzorują procesy produkcyjne. Służą badaniom zanieczyszczeń środowiska naturalnego oraz zwalczaniu szkodników i chwastów. Izotopowe detektory dymu z niezwykłą czułością reagują na wszelkie zagrożenie pożarem. Promieniowanie alfa jest stosowane jako źródło światła w tarczach przyrządów, zaś słabe, lecz długo emitowane promieniowanie beta oświetla aparaty do nocnej nawigacji.

Przy użyciu izotopów o długim czasie połowicznego rozpadu konstruuje się już współcześnie atomowe baterie o mocy setek watów, działające przez wiele lat; stosowane są one na sztucznych satelitach Ziemi i sondach międzyplanetarnych, a także na automatycznych stacjach meteorologicznych na bezludnych obszarach globu. Istnieje już atomowa ręczna latarka, są izotopowe żarówki świecące bez zasilania z zewnątrz – stosowane w kopalniach i na bojach, wytyczających wodne szlaki komunikacyjne. 30–100 – gramowe bateryjki atomowe zasilają wszczepiane chorym rozruszniki serca. Izotopy służą w kryminalistyce; pozwalają wykryć śladowe nawet ilości różnych substancji. Posłużyły one m. in. do postawienia hipotezy, że Napoleon zmarł otruty arszenikiem.

Jest jednak pewne „ale". Wydzielane przez izotopy promieniowanie użyte nieumiejętnie lub w złej intencji – może być bardzo groźne dla człowieka, nosi w sobie zarodki choroby czy nawet śmierci. Warto więc i o tym pamiętać w czasie, gdy radioizotopy wchodzą coraz powszechniej w użycie w najrozmaitszych dziedzinach. Ludzie umiejętnie się nimi posługujący chronieni są przed zgubnymi skutkami promieniowania – murami z ołowianych cegieł, taflami pancernego szkła, ubiorami ochronnymi, indywidualnymi dozymetrami – aparacikami kontrolującymi poziom promieniowania.

Jeśli więc ujrzysz na przejeżdżającej furgonetce charakterystyczną stylizowaną czerwoną koniczynkę na żółtym tle, często uzupełnioną napisem „Uwaga – promieniowanie" – wiedz, że najprawdopodobniej przewozi się właśnie radioizotopy, mogące być zagrożeniem dla tych, którzy nie umieją się z nimi obchodzić, ale przy umiejętnym stosowaniu są prawdziwym skarbem ludzkości.

JERZY KOREJWO

POCZET POLSKICH DRZEW

MARIAN SARAMA

CIS

W Wierzchlesie (woj. bydgoskie) jest ścisły rezerwat cisów, utworzony już w 1827 r. Przed 150 lata cisy rosły tu sobie zdrowo i ładnie, o czym donosił ówczesny nadleśniczy Bock, człowiek tak kochający cisy, że kazał się pochować w rezerwacie. Jeszcze w 1928 r. inwentaryzacja wykazała 5546 cisów, w tym 1000 osobników wysokopiennych. Działania wojenne nie wyrządziły tu większych szkód w drzewostanie, a mimo to powojenny spis podaje już tylko 4236 okazów, a więc jedną piątą drzew diabli wzięli!

Oby nie skończyło się z tym rezerwatem jak z Puszczą Jaktorowską, z jej cisami i... turami. Była ona niegdyś ogromna, ciągnęła się między Skierniewicami a Żyrardowem. Żyły w niej wiekowe drzewa i żyły ostatnie w Polsce i jedyne na świecie tury. Już od czasów Chrobrego na tury mogli polować tylko królowie i książęta. W 1359 r. książę mazowiecki Ziemowit rezerwuje tury tylko dla króla. Władysław Jagiełło pozwolił wybić trochę turów na mięso dla wojska ciągnącego pod Grunwald, ale następni Jagiellonowie chronią tura. W 1597 r., za Zygmunta III, ustalono 16 specjalnych łowców, do których obowiązków należało „turów doglądać, paść, siano z Jaktorowa od poddanych odbierać, a tym sianem w zimie tury opatrować... żeby turowie, zwierz nasz, dobrze chowani byli". Było więc aż tylu opiekunów, a turów w 1597 r. pozostało... tylko 20. Po czterech latach żyły już tylko cztery sztuki, ostatni zginął w 1627 roku.

A co zostało z ogromnej Puszczy Jaktorowskiej, z jej wiekowych cisów, dębów i niebosiężnych sosen? Dziś, proszę narodu, pozostała w słownikach nazwa Puszcza Jaktorowska, a w naturze – dziewięć cherlawych drzew!

Niejeden tur został wytępiony, niejedna Puszcza Jaktorowska została do cna wycięta. W ostatnich 150 latach na świecie zginęło bezpowrotnie ponad 100 gatunków ssaków i ponad 200 gatunków ptaków! Ale wróćmy do cisa.

Ochrona cisa zaczęła się już za czasów Władysława Jagiełły, który nakazał ochraniać cisy, bo właśnie fabrykanci kusz i innych narzędzi zaczęli narzekać na brak drewna cisowego, najlepiej nadającego się do tego celu. Z takiej cisowej kuszy można było na sto kroków przeszyć najlepszą mediolańską zbroję. Również łuki najlepsze były z cisowych gałęzi. W całej Europie cis był poszukiwany na wyroby snycerskie, tokarskie i stolarskie. Drewna cisowego używano nawet jako gromochronu, na tabakierki i grzebienie, a także... na luksusowe trumny. O wyrobie trumien z cisowego drewna przeznaczonych tylko dla faraonów wspominają już kroniki staroegipskie.

Najwięcej cisa wycięto w XVIII w. dla dwóch fabryk mebli, w Gdańsku i w Kolbuszowej. Dla Gdańska wytrzebiono z cisa Polskę północną, a dla Kolbuszowej – południową. W XX w. zaczęto już głośno wołać o ochronę tych cennych drzew, ale mimo to w 1919 roku w Jasieniu koło Radomska wycięto około 50 tys. cisów na opał dla huty szkła.

W starożytności cis nazywano „drzewem śmierci", uważając, że sen pod cisem sprowadza śmierć, co jest nieprawdą, bo cis nie wydaje żadnego zapachu. Trujące jest jednak zarówno drewno, jak kora, łyko i nasiona. Igły i gałązki wywołują zatrucia, szczególnie u ludzi. Natomiast kozy i króliki mogą jeść je bez szkody. Tylko czerwona otoczka nasienia (osnówka) nie ma tych właściwości. Dlatego ptaki chętnie zjadają owoce cisa, przyczyniając się do jego rozsiewania. To niezmiernie ważne dla tych drzew, bo cisy w ogóle mają trudności z rozmnażaniem. Są bowiem drzewami dwupiennymi, czyli jedne mają tylko kwiaty żeńskie, a inne wyłącznie męskie. Jeśli więc oba osobniki nie rosną blisko siebie, to i nie ma rozmnażania.

Według rzymskiego pisarza Pliniusza wino z cisowego pucharu sprowadza śmierć. Także Cezar pisał, że wódz galijskiego plemienia – Ambioryks – po przegranej z Cezarem bitwie wychylił z rozpaczy cisowy puchar. Z drugiej strony przypisuje się temu drzewu pewne własności lecznicze. Np. na Podkarpaciu używano kiedyś trocin z cisowego drewna jako leku.

Cis jest drzewem stosunkowo niskim, osiągającym do 18 m wysokości. Należy do drzew szpilkowych, zielonych także zimą. Igły ma płaskie, miękkie, jaśniejsze od spodu. Żyje w stanie dzikim w Sudetach, Karpatach. Sadzi się go też w parkach i na cmentarzach jako roślinę ozdobną. W Pyskowicach w Zakładach Szkółkarskich Drzew i Krzewów istnieje żywopłot cisowy „najdłuższy w Europie", jak mi podano, liczący 60 metrów.

Cis nigdy nie tworzy zwartych lasów, występuje natomiast jako niższe piętro ciemnych borów (jest cieniolubny). Tworzy zgrupowania w cieniu wyniosłych sosen lub buków, co stwarza dość ponure wrażenie ze względu na mrok, jaki tu panuje. Dziwne wrażenie sprawiają też pokręcone konary cisa, który nigdy nie rośnie prosto. A rośnie bardzo powoli. Jego roczny przyrost wynosi w zwartym zbiorowisku mniej niż milimetr. Potrzebuje więc co najmniej stu lat, żeby osiągnąć grubość kilkunastu cm. Dożywa jednak sędziwego wieku, bo ponad 1000 lat. Zakwita dopiero w wieku 70 do 120 lat.

Największe zgrupowanie cisów mamy we wspomnianym już rezerwacie Wierzchlas. Drugim z kolei największym skupiskiem jest rezerwat Czarne, też w Borach Tucholskich. Ocalał, gdyż trudno się doń dostać, jako że ciągną się wokół zdradliwe bagna. Dwa inne duże rezerwaty znajdują się w nadleśnictwie Bardo Śląskie. Ogółem mamy 14 rezerwatów cisa i trochę pojedynczych okazów.

Najgrubszy okaz cisa na ziemiach Polski rośnie w Henrykowie Lubańskim na Dolnym Śląsku. Obwód jego pnia wynosi nieco ponad 5 metrów, a wiek ocenia się na 1000 lub nawet 1400 lat.

Charakterystyczna struktura pnia cisa

DOBRZE BYĆ NAJMŁODSZĄ...

Rozmowa z Monika Ważny, jedną z laureatek XXI Festiwalu Piosenki Radzieckiej

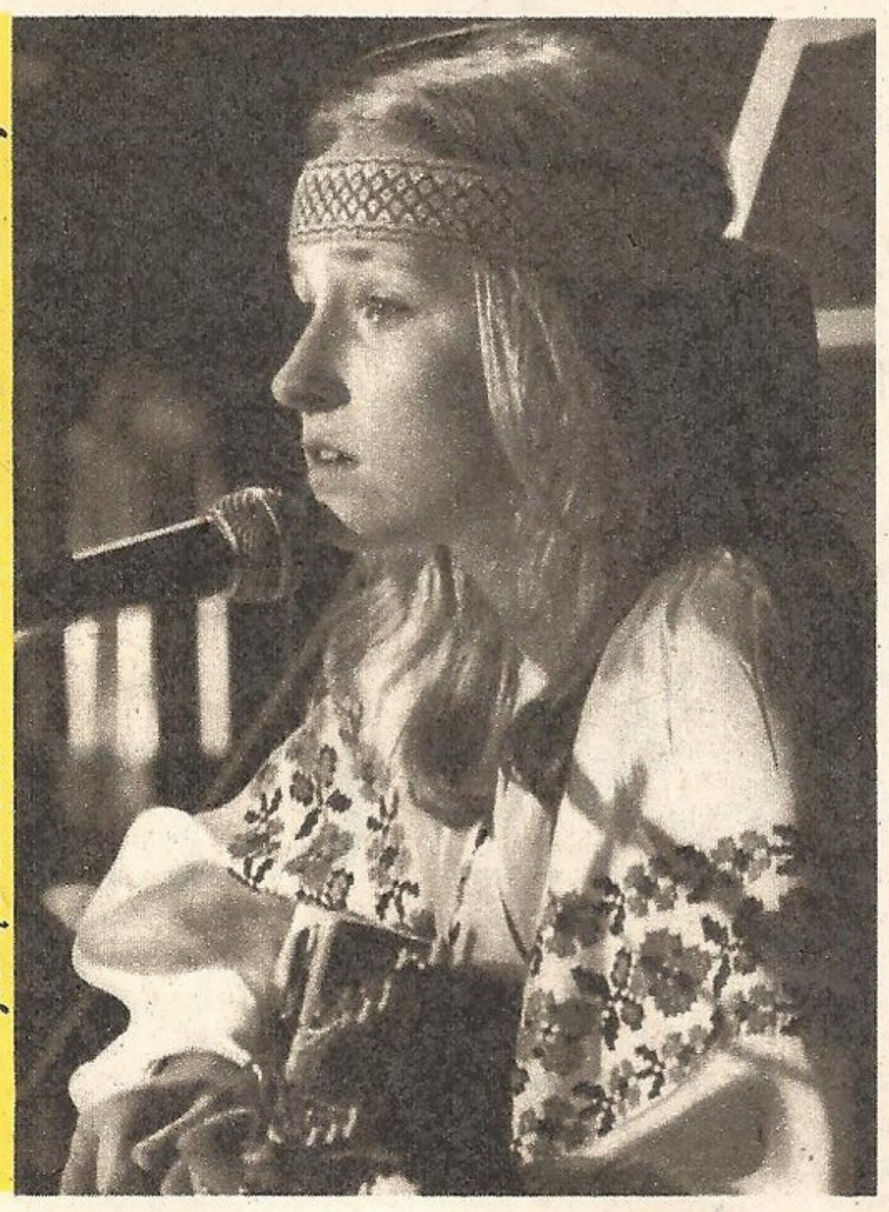

Na tegorocznym Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze Monika Ważny zdobyła aż dwa wyróżnienia przyznane jej przez Interpress i przez Związek Harcerstwa Polskiego.

Była najmłodszą uczestniczką festiwalu. Ma dopiero 16 lat i po raz pierwszy w życiu występowała przed tak dużą publicznością. Okazała się jednak lepsza od znacznie starszych niż ona wykonawców – często nawet już profesjonalistów.

„Prawie wcale się nie bałam wyjść na scenę amfiteatru i śpiewać przed taką dużą widownią. Bardziej denerwowałam się, kiedy występowałam na szkolnych akademiach przed całym gronem pedagogicznym...

Ale do Zielonej Góry trafiła właśnie dzięki komuś z owego „grona pedagogicznego" Na jednym ze szkolnych apeli, zorganizowanym w rocznicę Rewolucji Październikowej zaśpiewała „Drogę" – piosenkę z repertuaru Żanny Biczewskiej. Jej występ bardzo się podobał nauczycielce języka rosyjskiego – p. Bogumile Rokickiej i właśnie ona zachęciła Monikę, żeby tą „drogą" zawędrowała aż do Zielonej Góry.

„To ona właśnie namówiła, mnie do wzięcia udziału w eliminacjach do festiwalu, przynosiła mi płyty, wybrała repertuar, pomagała w nauce języka...

W eliminacjach w Tarnowie, a potem w Żabnie Monika zajęła pierwsze miejsca. Musiała walczyć o nie ze znacznie starszymi od siebie kolegami...

„To było moje pierwsze zetknięcie się z wielkim światem, z całą tą pompą dużych imprez. Nie wszystko mi się podobało, ale po wygraniu eliminacji w Żabnie już wiedziałam, że jadę do Zielonej Góry."

Występ przed szeroką publicznością transmitowany przez telewizję wymaga wiele odwagi, nawet najbardziej doświadczonych wykonawów. Udział w zielonogórskim festiwalu jest niezapomnianą przygodą, a nawet fajną zabawą, ale wywołuje też stresy: budzi lęk przed ośmieszeniem się, obawę o reakcję otoczenia. Monika była odważna...

„To nawet nie chodziło o odwagę. Mimo różnych obaw zdecydowałam się na wyjazd do Zielonej Góry, bo chciałam być w porządku wobec moich opiekunów i szkoły, nawet wobec kolegów z eliminacji, którym przecież zabrałam pierwsze miejsce! Po pracy, którą włożyłam w przygotowania do festiwalu i jaką włożono we mnie, nie mogłam już zrezygnować z wyjazdu. A jak przyjęło moją decyzję najbliższe otoczenie? Wszyscy się bardzo ucieszyli. Mama tylko była trochę przeciwna mojemu wyjazdowi uważając, że takie wielkie imprezy – to jeszcze nie dla mnie...

Do Zielonej Góry pojechała z ojcem. Kiedy śpiewała, on siedział w pierwszym rzędzie.

„To dobrze w trudnej chwili mieć kogoś bliskiego przy sobie, ale podczas koncertu nie patrzyłam na tatę. Starałam się o niczym innym nie myśleć, tylko o tym co śpiewam. Zapowiedziano mnie, jako najmłodszą uczestniczkę festiwalu. Co wcale mi nie dodało odwagi. Ze wszystkich wykonawców ja miałam najsmutniejsze piosenki: Jak służył żołnierz i Drogę – obie z repertuarem Żanny Biczewskiej. Występowałam akompaniując sobie na gitarze. Z jednej strony jest to łatwiejsze niż śpiewanie z orkiestrą – jest się niezależnym, ale z drugiej – czuje się, że cała odpowiedzialność za występ spada tylko na ciebie!"

„Samowaru" nie zdobyła, ale zdobyła dwa wyróżnienia. Najważniejsze jednak, że wywiozła z Zielonej Góry wiele miłych przeżyć.

„Dla mnie festiwal był jedną wielką przygodą. Poznałam mnóstwo ciekawych ludzi. Mieliśmy dużo wspólnych prób, spotkań. Uczyliśmy się nowych piosenek. Wszyscy traktowali mnie – jako tę najmłodszą – bardzo serdecznie. Pamiętano jeszcze, jak zaczynały tu swoją karierę Małgosia Ostrowska i Urszula z Budki Suflera – też w wieku 16 lat... Nie bardzo mi się potem chciało wracać do Tarnowa, tym bardziej że już przed wyjazdem zapowiedziano w szkole kilka klasówek..."

W szkole czekały ją nie tylko klasówki, ale też miłe powitanie na specjalnym apelu.

Monika jest uczennicą II klasy Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Tarnowie. Sama wybrała sobie tę szkołę. Plastyką zainteresowała się już w podstawówce, pod wpływem dziadka, który uczył ją malować. W rodzinie nie brak artystycznych tradycji: mama śpiewała w chórze, ojciec zajmował się teatrem amatorskim, brat grał na gitarze...

W pokoju Moniki przeplata się muzyka ze sztukami plastycznymi: na ścianach, obok plakatu Żanny Biczewskiej, rysunki obrazy, obok płyt i gitary– rzeźby i modele.

„Jeszcze nie wiem, co będę robiła po skończeniu szkoły. Może Akademia Sztuk Plastycznych, a może jednak piosenkarstwo – ale tylko kameralne, dla małej publiczności. Lubię poezję śpiewaną: piosenki Ewy Demarczyk, Marka Grechuty, Edyty Geppert. Ale słucham prawie każdej muzyki: od Maanamu do Sala Solo".

Ma fantazję i mnóstwo pomysłów. Nigdy się nie nudzi, zawsze potrafi znaleźć receptę na dobry humor. Często się uśmiecha i na pozór wydaje się całkiem beztroska. Ale pod tym uśmiechem kryje się duża wrażliwość i coś poważnego – prawie dojrzałość.

„To chyba właśnie festiwal trochę mnie zmienił. Teraz jestem rzeczywiście poważniejsza, bardziej dorosła. Chociaż wcale nie marzę o tym, żeby już mieć 18 lub więcej lat! Życie dorosłych jest pełne tylu, często zupełnie sztucznych, problemów... I nawet dobrze się czułam tam w Zielonej Górze jako ta najmłodsza. Mogłam się bez skrępowania uczyć od innych. Co bym doradzała tym, którzy znajdą się kiedyś w podobnej sytuacji, wśród starszych od siebie? Żeby nie udawali starszych niż są. Bądźcie zawsze po prostu sobą...

Rozmawiała VIOLETTA LEWANDOWSKA

NAJWIĘKSZY BUDDA

Budda, hinduski książę – filozof i asceta – żyjący w V w. pne. – stał się twórcą jednej z wielkich religii, zwanych od jego imienia buddyzmem. Głoszona przez niego nauka, wyrastająca z wierzeń wspólnych dla ludów zamieszkujących cały subkontynent indyjski, miała na celu pomóc człowiekowi w dążeniu do wewnętrznego doskonalenia się, osiągnięcia spokoju oraz wyzwolenia od cierpienia.

Buddyzm rozszerzył się z Indii na całą południowo-wschodnią Azję i liczy dziś 600 milionów wyznawców. Miejsca związane z pobytem Buddy są celem licznych pielgrzymek.

Posągi Buddy znajdują się w wielu świątyniach. Jednym z największych jest posąg w świątyni Tadaidze w Narze (Japonia). Jest ona zbudowana z dębowego i cedrowego drzewa. Ustawiony w niej posąg ma prawie 30 metrów wysokości. Budda siedzi – jak zwykle – ze skrzyżowanymi nogami i wyciąga ręce do wiernych. Za posągiem widać tarczę w kształcie słońca. Umieszczono na niej mniejsze figurki Buddy. *(wk)*

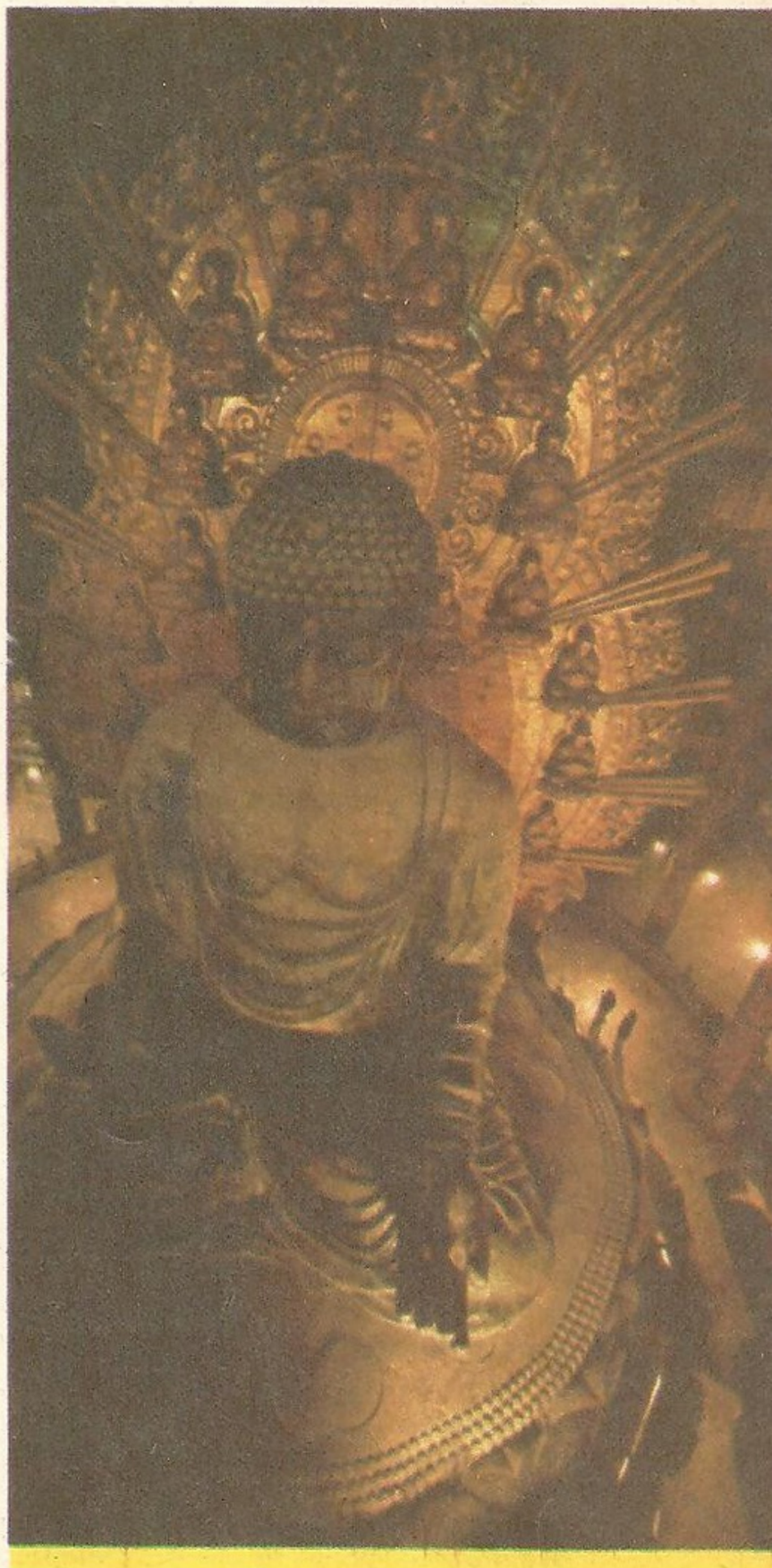

LUDZIE JAK PTAKI

„Wędrować to znaczy żyć – mówią ludzie z plemienia Wodaabe, jednego z nielicznych już dziś plemion koczujących na półpustynnych i stepowych obszarach zachodnioafrykańskiej republiki Nigru. Surowy klimat, uboga szata roślinna i częste susze zmuszają tubylców do ciągłego poszukiwania wody i pastwisk dla bydła. Nie narzekają jednak na swój los. Od wieków przywykli do takiego trybu życia. Są zahartowani, odporni na trudy, cierpliwi i uparci.

Jesteśmy jak wędrowne ptaki – mówią o sobie. Nie pozostawiamy nawet śladów po miejscu naszego obozowania. Żyjemy z dala od innych, a gdy ktoś zbliży się do nas, odlatujemy jak ptaki na inne drzewo.

Te odloty podyktowane są jednak najczęściej koniecznością opuszczenia terenów, na których wyczerpią się skąpe zasoby wody i paszy dla bydła. Pakują więc swój dobytek na grzbiety wielbłądów i osłów i ruszają w drogę. Trzeba wielkiej odporności, żeby wędrować w 50-stopniowym upale.

Kiedy trafią na jakąś oazę, zatrzymują się i rozbijają obóz. Mężczyźni kopią płytkie rowy, w które wlewają wodę, żeby napoić bydło, a kobiety budują szałasy, w których znajduje schronienie cała rodzina i dobytek. Ten dobytek to głównie maty do spania, stroje obrzędowe i codzienne, a także piękne misy – przedmiot dumy każdej kobiety Wodaabe. Misy wystawia się na pokaz z okazji różnych świąt. Najważniejsze z nich – to „Worso" i „Gerewol". Wypadają one

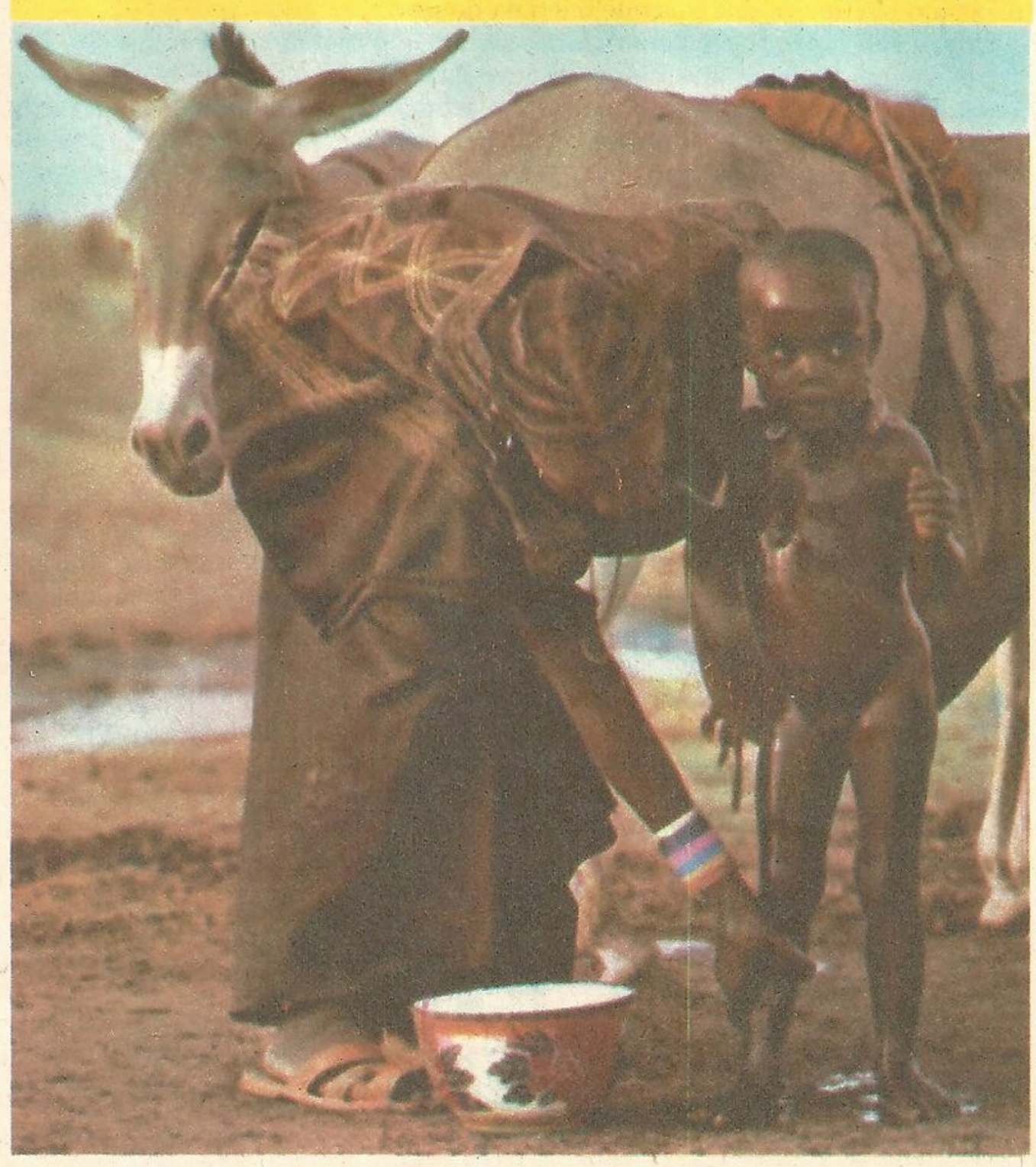

podczas pory deszczowej. Wtedy poszczególne grupy rodzinne rozbijają obozy niedaleko siebie, bo w tej porze roku wody i paszy dla bydła jest pod dostatkiem. Spotykają się na wspólnych zabawach i tańcach przy ogniskach. Ludzie z plemienia Wodaabe nie znają pisma. Zamiast czytać książki lub oglądać telewizję słuchają podczas świątecznych spotkań bajarzy opowiadających baśnie i legendy, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Dawne tradycyje i obyczaje przestrzegane są skrupulatnie. Niektóre z nich wydają się nam dziwne. Na przykład tradycja zabrania mężczyźnie trzymania żony za rękę, gdy patrzą na to inni. Nie może on również zachowywać się w stosunku do niej w sposób poufały, a nawet zwracać się do niej po imieniu.

Rodzicom zabrania się rozmawiania ze swoim pierwszym i drugim dzieckiem, nawet nie mogą się z nimi często spotykać. Rolę opiekunów przejmuję więc dziadkowie i inni krewni, którzy nie szczędzą dzieciom troski i uczucia. Dopiero trzecie dziecko może przebywać z rodzicami. Skąd się wzięły takie dziwne rodzinne obyczaje – trudno dociec. Ot po prostu, jak mówi przysłowie: co kraj – to obyczaj. *(wk)*

PŁOMYKOTEKA

KRZYŻÓWKA Z „IDOLEM"

na str. 24

POZIOM: 1) słynny nasz pamiętnikarz (albo rzemień podtrzymujący szarawary), 5) napój egzotycznego pochodzenia, 8) samolub, egoista, 11) rodzaj państwowego odznaczenia, 12) boczna ściana, 13) po prostu wentyl, 14) żółta lub brunatna farba, 15) wnęka w murze, 16) tkanina z czystej wełny o spilśnionej powierzchni, 19) kobyła, 22) tylna część rumaka, 24) wąski kołnierzyk stojący (także stanie bez ruchu), 26) słynny nasz poeta, dramaturg i prozaik z ubiegłego stulecia, 27) jedna z republik radzieckich, 28) świadectwo dojrzałości, 32) płot, ogrodzenie, 33) stop miedzi z cynkiem, przypomina złoto, 34) budynek do przechowywania sprzętu gospodarskiego, także siana, 37) płomień, 38) wrzask, wołanie, 40) przedmiot, 41) zwierzę amerykańskie, które może być również kombajnem, 44) bogactwo, które znalazło się w tytule pierwszej polskiej powojennej komedii filmowej, 45) zasłona w szermierce, rodzaj obrony przed ciosem, 48) pomieszczenie na samochód, 52) kciuk, 55) roślina ziołowa o silnie pachnących liściach, 56) ten, kto pielęgnuje rośliny lub zwierzęta, 57) łupinka, skórka (albo szczapka drewna), 58) sposób odżywiania chorych, 59) to, co marchew ma nad ziemią, 60) to, co powinno panować w czasie lekcji, 61) wielbiciel, zalotnik.

PIONOWO: 1) pierwiastek chemiczny, rozpowszechniony w przyrodzie w postaci związków, 2) ekler (ale nie ciastko), 3) stary gród litewski, obecnie duży port na Niemnem, 4) duży port radziecki nad Morzem Czarnym, 5) krzew, 6) ptak spokrewniony z wroną, 7) dzieło malarza, 8) skowyczenie, 9) autor wielu popularnych wśród młodzieży książek, zdobywca „Orlego Pióra", 10) jest w drzwiach, 17) piękno, urok, 18) przyzwyczajenie, zwyczaj, 20) dawny alarm, 21) zabytkowe miasto w Uzbekistanie, niegdyś stolica chanatu, 22) specjalista do lepienia pieca, 23) leśna droga, 24) sklep samoobsługowy, 25) materiał żałobny, 29) jeden z bohaterów znanej powieści Dumasa, przyjaciel Portosa i Aramisa, 30) u Ożogowskiej jest od śledzia, 31) ptak morski, 35) czasomierz, 36) to, co należy oddzielić od ziarna, 38) arka (albo spółdzielnia rybacka na naszym Wybrzeżu), 39) krewniak, 42) skierka (także samolot odrzutowy polskiej konstrukcji), 43) może być warzywny, 45) człek gadatliwy, 46) wąski i długi dół, 47) może być fotograficzny, 48) ozdobny trawnik, 49) człowiek mechaniczny (także sztuczny, automatyczny pilot w samolocie), 50) wielokrotny kapitan naszej reprezentacji piłkarskiej, znakomity obrońca, 51) supeł, 52) dom (ale władcy), 53) azotan srebra (używany m.in. do wypalania brodawek), 54) chałupa.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać litery z barwnych pól (według oznaczonej kolejności), które utworzą przysłowie, niegdyś pospolite wśród wielu ludów Wschodu

ROZWIĄZANIE krzyżówki (wystarczy samo hasło) nadsyłajcie w ciągu 10 dni od ukazania się tego numeru pod adresem: Redakcja „Płomyka"– ul. Spasowskiego 4, 00–950 Warszawa, skr. poczt. 380. Rozwiązania prosimy przesyłać na kartkach pocztowych lub z dopiskiem na kopercie „Krzyżówka z nru 15". Pomiędzy Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy książki.

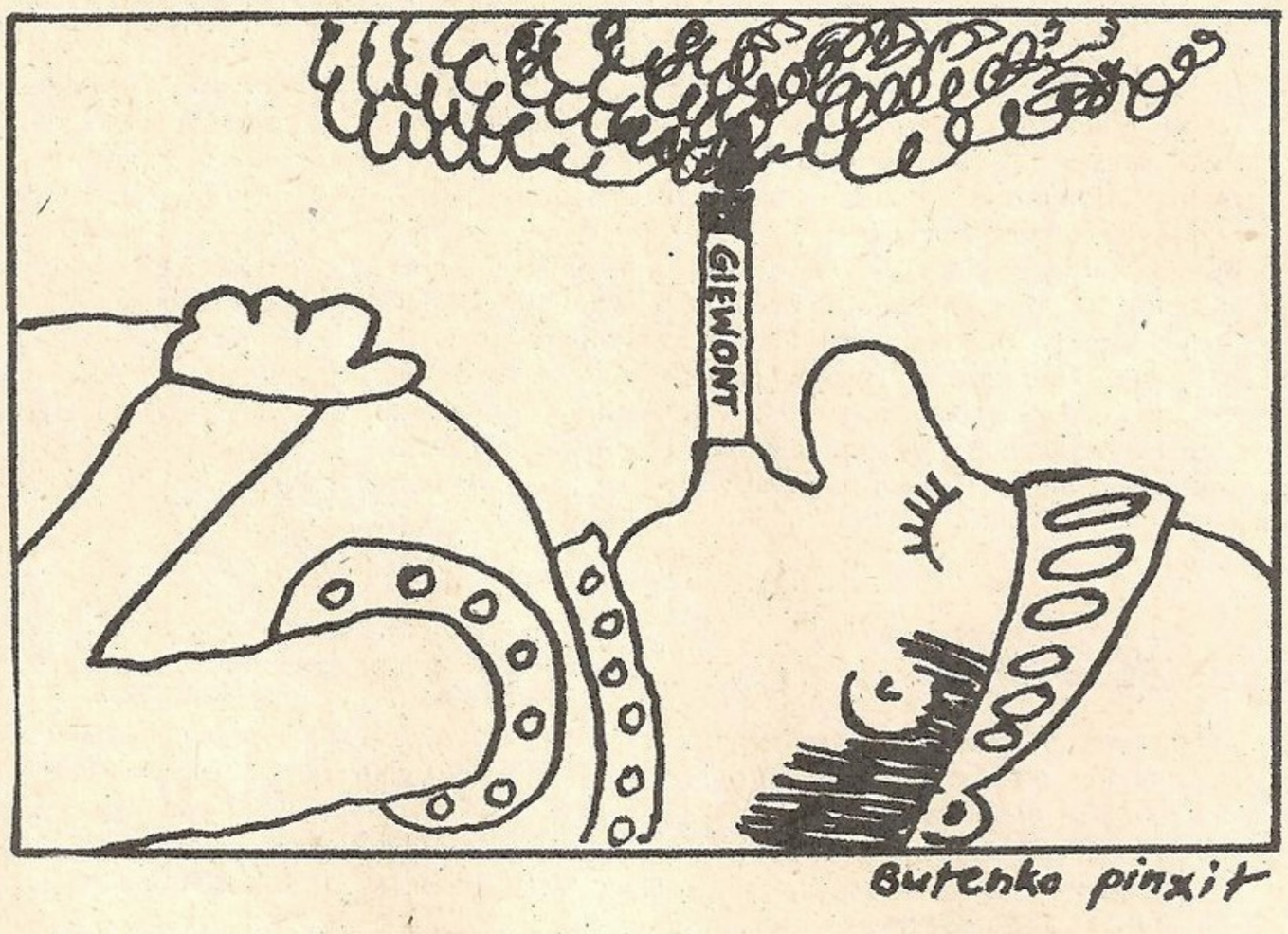

ZAPALIĆ, CZY WYBRAĆ SIĘ NA GIEWONT?

Zaczyna się zwykle niewinnie – jeden, drugi papieros zapalony dla draki, dla szpanu, dla towarzystwa. Cygan – jak mówi przysłowie – dał się powiesić dla towarzystwa, a ty sięgasz po papierosa i czekasz na uznanie kolegów lub koleżanek. A potem... sam nie wiesz, kiedy stajesz się niewolnikiem groźnego nałogu. 80% palaczy nie potrafi uprzytomnić sobie tego momentu, kiedy palenie przestało być zabawą, a wciągnęło ich na dobre.

Czym grozi nałogowe palenie? Jeśli powiemy, że wieloma groźnymi chorobami, to pewnie wzruszycie ramionami i powiecie: strachy na lachy – tyle ludzi pali, jakoś żyją. To prawda, skutki palenia nie od razu są widoczne i nie każdy organizm jednakowo je odczuwa. Rak płuc, zawał serca to nie są choroby, na które zapada się w waszym wieku. Ale może przemówią do waszej wyobraźni inne dane, które zaczerpnęliśmy z artykułu opublikowanego w piśmie medycznym.

Kto wypala 20 papierosów dziennie, wdycha w ciągu roku około pół szklanki smoły, która zawarta jest w dymie papierosowym. Znaczna część tych smolistych substancji jest rakotwórcza.

Kto często sięga po papierosa, poci się intensywniej od osoby niepalącej. Papieros wprowadza bowiem organizm w stan stresu. Zwiększa się wówczas produkcja hormonu zwanego adrenaliną, czego widocznym objawem jest zwiększona pobudliwość nerwowa i potliwość całego organizmu.

Palacz wdycha wraz z dymem dwutlenek węgla, czyli czad. W dymie papierosowym jest go 600 razy więcej niż przewidują normy dopuszczane w przemyśle. Ów czad przenika do krwi, łączy się z czerwonymi ciałkami i powoduje ich zablokowanie, a to z kolei uniemożliwia prawidłowe rozprowadzanie tlenu do wszystkich komórek organizmu.

Nietrudno zauważyć, że palacze mają często gorszą cerę, to właśnie rezultat niedotlenienia komórek znajdujących się w skórze. Niedotlenienie mózgu daje natomiast o sobie znać trudnością w skupieniu uwagi, kłopotami z pamięcią.

Serce palacza wykonuje przeciętnie 20 uderzeń więcej z powodu zbyt małej ilości tlenu dostarczonego przez krew. Ludzie palący męczą się więc szybciej. Porównuje się wypalenie 20 papierosów do wysiłku, jakiego dokonuje taternik wchodząc na Giewont. Różnica jest ta, że „wysiłek" palacza szkodzi jego organizmowi, zaś wysiłek taternika służy zdrowiu.

Oprócz tych medyczno-zdrowotnych argumentów są jeszcze i finansowe. Obliczcie sami, jak poważnym obciążeniem finansowym jest dla każdego palacza kupowanie papierosów.

Warto o tym wszystkim pamiętać, kiedy sięgacie po pierwszego lub drugiego papierosa – dla draki, dla szpanu lub dla towarzystwa. **Znacznie łatwiej jest nie przyzwyczajać się do palenia niż później z wielkim wysiłkiem próbować się odzwyczaić.**

(wk)

PŁOMYKOTEKA

NASTOLATKOWIE pytają – prof. MIKOŁAJ KOZAKIEWICZ odpowiada

Czy o miłość trzeba się starać, czy też czekać, aż przyjdzie sama?

Jest takie powiedzenie Szekspira, że miłość ucieka przed tymi, którzy za nią gonią, i rzuca się na tych, którzy przed nią uciekają. Nie wydaje się jednak, żeby ta wypowiedź wielkiego dramaturga nadawała się na wskazówkę życiową. Jasne jest, że jeśli będziesz stronił od ludzi i zamkniesz się w czterech ścianach pokoju, nie będziesz miał szans na to, by poznać kogoś godnego miłości, ani na to, by obudzić podobne uczucie do siebie.

Wydaje mi się, że gdy ma się lat piętnaście lub nieco więcej, nie trzeba ani szukać miłości, ani przed nią uciekać. Trzeba po prostu żyć normalnym życiem młodego człowieka, to znaczy – uczyć się i bawić, chodzić na wycieczki, do kina, do kawiarni, pracować w organizacjach młodzieżowych, uprawiać sporty, tańczyć na zabawach, mieć swoje zainteresowania, np. zbierać znaczki itd., itd. Podobnie jak nie macie wpływu na to, kiedy zaczną wam się sypać wąsy, tak też nie macie wpływu na to, kiedy usłyszycie głos płci, kiedy busola waszego uczuciowego życia po raz pierwszy zatrzyma się na napisie „miłość".

Nie wpadajcie w panikę, że macie „już" 16 lat i jeszcze w nikim nie kochaliście się, choć większość waszych kolegów kochała się już „setki" razy. Nie przejmujcie się tym, że mimo tych lat wciąż sprawia wam więcej przyjemności kopanie piłki na boisku niż randka z jakąś dziewczyną w parku.

W tej dziedzinie niczego nie trzeba sobie narzucać ani planować. Tempo rozwoju fizycznego, umysłowego, płciowego i uczuciowego młodzieży jest tak różne, że nawet czteroletnie różnice nie oznaczają jeszcze żadnego odchylenia od normy. Staraj się żyć normalnie, ciekawie i bogato – zgodnie z aktualnie odczuwanymi potrzebami, a wówczas nie spostrzeżesz się nawet, kiedy rozbudzi się w tobie także zainteresowanie dziewczętami. Dopóki go nie odczuwasz, nie staraj się o nie na siłę. Nie usiłuj również wmawiać sobie, że jakaś nić przyjaźni, która się zadzierzgnęła między tobą a jakąś dziewczyną, to jest już miłość, że więź koleżeńska z dobrym „kumplem" w spódnicy już cię obliguje do postępowania według reguł, jakie, twoim zdaniem, obowiązują zakochanych itd.

Są chłopcy, którzy pragnąc jak najszybciej stać się dorosłymi, starają się przekonać siebie i innych o swojej rzekomej dorosłości, zaczynają palić papierosy, usiłują „chodzić z kimś", „kochać się" itd. A przecież sam fakt, że muszą dopiero przekonywać innych o swojej dorosłości, świadczy o tym, że dorośli jeszcze nie są i nie czują się takimi. Postępując w ten sposób stają się nie dorośli, a tylko śmieszni. Podobnie zaś jak przedwcześnie rozpoczęte palenie papierosów fatalnie odbija się na ich zdrowiu, tak przedwcześnie „na siłę" rozpoczęte życie erotyczne pakuje ich często w poważne kłopoty, z których wyplątać się potem nie tak łatwo.

„Starać się o swoją miłość" można i należy dopiero wtedy, kiedy pojawia się już w naszym życiu sama. Ale wtedy „staranie się o miłość" ma zupełnie inne znaczenie. Jest troską, aby to uczucie było piękne i szlachetne, aby wzbogaciło, zarówno jedną, jak i drugą stronę, aby rozwijało się, wydając wciąż nowe kwiaty, a nie więdło na jałowym gruncie spotkań wypełnionych tylko umizgami i małpowanym flirtem gwiazdorów filmowych.

Miłość jest osobistym „dziełem sztuki", efektem indywidualnej twórczości każdego człowieka. Bez troski o nią, bez starannego jej kultywowania i poważnego traktowania ginie bardzo szybko, tak jak ginie nie pielęgnowany kwiat. Te uczucia, jakie wy możecie przeżywać w wieku lat kilkunastu, nie należą do odmian trwałych, ale każdy kwiat, nawet nietrwały, może w okresie swego istnienia kwitnąć marnie lub pięknie. Ucz się nadawać piękno nawet tym pierwszym, nietrwałym uczuciom, bo wszystko, czego się nauczysz w okresie tych wstępnych prób, przyda ci się później, kiedy wybije również dla ciebie godzina prawdziwej, poważnej, wielkiej miłości.

Z książki „Gdy miłość dojrzewa" (Wyd. „Alfa", 1984), złożonej z odpowiedzi Mikołaja Kozakiewicza na pytania zadawane mu na spotkaniach autorskich. Są to rozmowy Z CHŁOPCAMI, ale DLA DZIEWCZĄT może to być równie pożyteczna lektura.

SŁOWA i SŁÓWKA

„Wistla" znaczy Wisła

Jak brzmiała polska mowa za czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego? Czy bardzo różniła się od polszczyzny, którą posługujemy się dziś?

Na te i podobne pytania odpowiedzieć nie jest łatwo, ponieważ z tamtych odległych lat nie zachowały się żadne zapisy dłuższych tekstów w języku polskim. W wielu starych dokumentach, spisanych po łacinie, występują tylko pojedyncze polskie wyrazy. Są to najczęściej różnego rodzaju nazwy własne (rzek, miast, plemion, ludzi), wymieniane w opisach podróży, w aktach prawnych, w kronikach. Nazwy te zapisywane były w sposób niezwykle nieporadny, gdyż nie istniały jeszcze żadne zasady polskiej ortografii.

Zapisy dwóch pierwszych nazw, związanych z terenami późniejszej Polski, pochodzą jeszcze z czasów Cesarstwa Rzymskiego. W dziele, przypominającym nieco dzisiejsze encyklopedie, napisanym przez Pliniusza Starszego, urzędnika i pisarza rzymskiego, który żył w I wieku naszej ery, odnaleźć można wyraz *Vistla* (pisany też: *Vistula*), czyli nazwę naszej Wisły. W niespełna sto lat później słynny starożytny geograf, Ptolemeusz, sporządził spis około 8 tysięcy nazw geograficznych z całego znanego wówczas świata. Umieścił w nim nazwę miasta *Kalissia* (dziś Kalisz).

W obydwu tych wypadkach trudno jednak mówić o wyrazach polskich, gdyż język nasz wyodrębnił się dopiero na przełomie IX i X w. Z tego właśnie okresu pochodzi niemiecka kronika, znana pod umownym tytułem „Geograf Bawarski". Jej autor wymienił kilka plemion polskich i ich grodów. Nazwy zapisał na tyle dokładnie, że dość łatwo je rozpoznać, np.: *Uislane* (Wiślanie), *Glopeani* (Goplanie), *Sleenzane* (Ślężanie). Można też domyślić się dzisiejszego brzmienia nazw podanych w kronice niemieckiego biskupa Thietmara, który opisywał m. in. walki niemiecko-polskie w okresie panowania Mieszka I. *Glogua* to oczywiście Głogów, *Crosna* – Krosno, *Wortizlaua* – Wrocław. Trudniej rozszyfrować takie zapisy jak: *Cilensis* (Ślężanie), *Pober* (Bóbr).

Najważniejszym starym tekstem, zawierającym aż 410 polskich nazw miejscowości i osób jest tzw. Bulla gnieźnieńska wydana w 1136 r. przez papieża Innocentego II. W dokumencie tym papież podał nazwy miejscowości leżących na terenie archidiecezji gnieźnieńskiej. Wymienił także imiona lub przezwiska (nazwisk wówczas jeszcze nie było) gospodarzy z poszczególnych wsi. Oto kilka polskich imion – przezwisk sprzed 850 lat uwiecznionych w tym dokumencie: Dziurzewic, Radzięta, Mysłak, Sirak, Sławosz, Rus, Suł, Białowąs...

WIELOKROPEK

PŁOMYKOTEKA

JAK WZMOCNIĆ MIĘŚNIE PLECÓW?

● Z pozycji raczkującej na kolanach i dłoniach – unieś i wyprostuj prawą nogę i lewą rękę, a potem lewą nogę i prawą rękę. Ćwiczenie powtarzaj kilka razy na zmianę.

● Połóż się na plecach, dłonie ułóż pod głową, nogami wykonuj ruchy, jak przy jeździe na rowerze. Ćwicz przynajmniej przez 5 minut.

(*gm*)

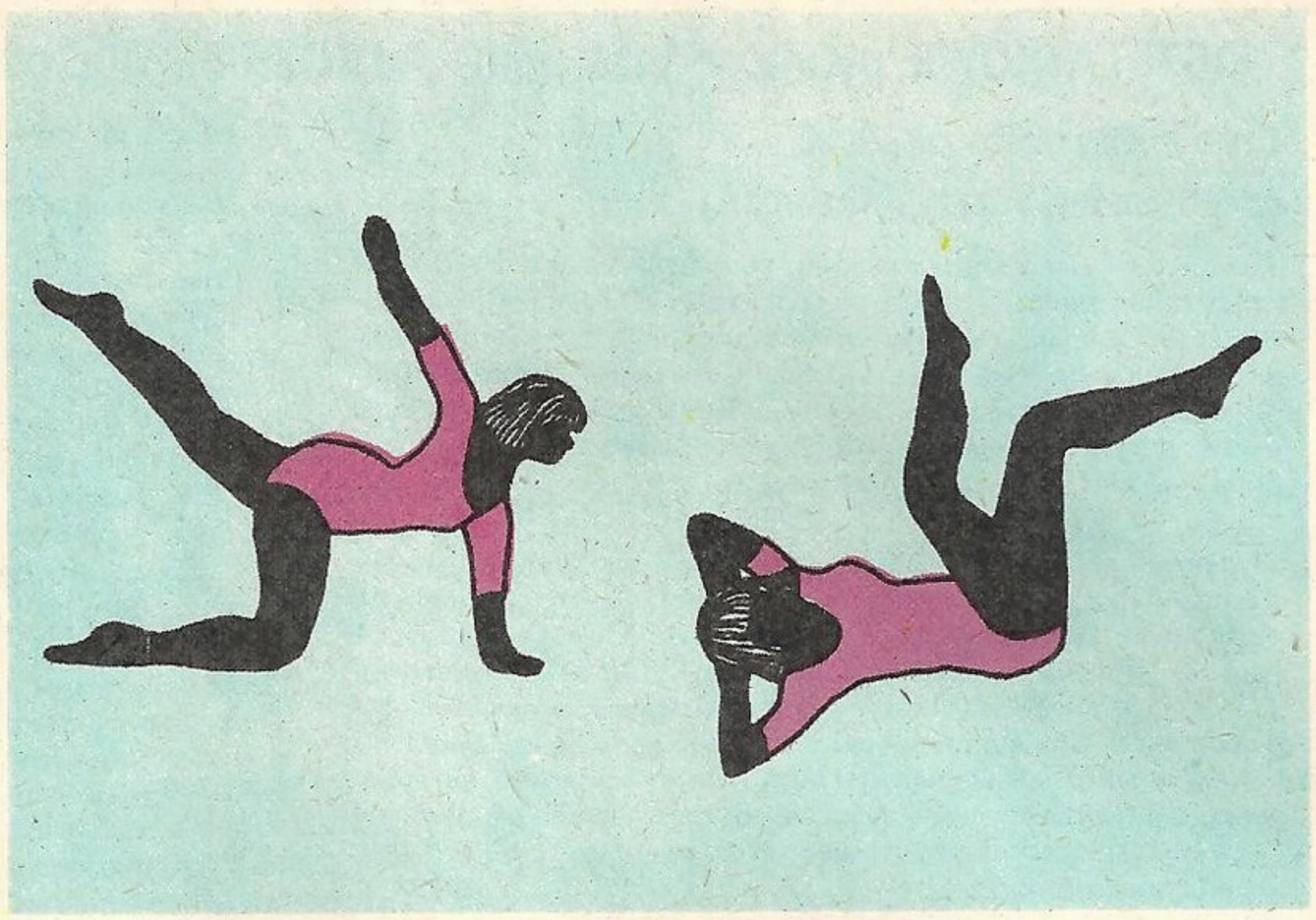

SZTUCZNE SMAKOŁYKI

Befsztyk z plastyku, woskowy makaron, sałatki, sosy i torty wykonane z igelitu i styropianu – potrawy te wyglądają tak apetycznie i zachęcająco, że najwytrawniejsi smakosze dają się nabrać. Ale można na nie tylko patrzeć. Przyrządzają je nie kucharze, lecz chemicy i artyści plastycy w japońskiej wytwórni w Tokio, specjalizujący się w podrabianiu wyglądu potraw. Z różnego rodzaju tworzyw, przy użyciu całego arsenału delikatnych narzędzi, wyczarowują oni istne cuda, np. aby danie mięsne wypadło efektownie, trzeba w miękki, odpowiednio zabarwiony plastyk, wtopić bawełniane nitki imitujące żyłki, potem ostrym nożem wyrzeźbić włókna i zapiec całość w piecu. Specjalne tworzywa udają smakowite sosy, kremy, polewy.

Te bardzo kosztowne plastykowe „smakołyki" kupują przede wszystkim właściciele restauracji, barów, herbaciarni i to nie tylko do celów dekoracyjnych, bowiem w Japonii jest zwyczaj, że klientowi zamawiającemu jakieś danie pokazuje się, jak ono wygląda. Atrapa pozwala zademonstrować danie, zanim się je przyrządzi. Biada jednak kucharzowi, jeśli nie potrafi sprostać sztucznemu wzorowi!

Atrapy potraw kupowane są także przez producentów filmowych jako rekwizyty do filmów. Jest to wygodne, bo przecież trzeba czasem ujęcie powtarzać wielokrotnie i naturalne lody szybko by się rozpuściły.

Niektóre japońskie atrapy potraw trafiły nawet do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Uznano je bowiem za prawdziwe dzieła sztuki użytkowej. (*wk*)

SMAKOŁYKI PRAWDZIWE

Najtańsze rogaliki

Ugotować 1/4 kg ziemniaków, przetrzeć przez sito lub przepuścić przez maszynkę do mielenia mięsa, dodać 5 dag drożdży roztartych z 10 dag cukru, 1 jajko, pół szklanki mleka i 1/2 kg mąki, zagnieść ciasto i pozostawić je na noc w chłodnym miejscu. Następnego dnia rozwałkować kwadrat grubości ok. 2 cm, złożyć w kopertę, znów rozwałkować (powtarzać tę czynność trzykrotnie). Doskonale rozwałkowane ciasto kroimy w trójkąty, smarujemy roztopionym masłem (1 łyżka) i zwijamy rogaliki. Po wierzchu smarujemy je „roztrzepanym" jajkiem i układamy na wysmarowanej tłuszczem blasze. Posypujemy cukrem (lub cukrem wymieszanym z makiem). Pieczemy w średnio gorącym piekarniku, aż się zrumienią.

Marmoladnik

Z 1/2 kg mąki, 15 dag cukru, 2 jajek, szklanki mleka, 3 dag drożdży, małego opakowania cukru waniliowego przygotowujemy ciasto drożdżowe. Pozostawiamy je w cieple do wyrośnięcia. Potem rozwałkowujemy je na grubość 1 cm. Ciasto smarujemy 25 dag marmolady (może być domowa lub kupna – śliwkowa, jabłkowa lub wieloowocowa). Zawijamy ciasto z marmoladą i pozostawiamy je na 30 minut, aby wyrosło. Następnie układamy marmoladnik na wysmarowanej tłuszczem blasze i pieczemy w gorącym piekarniku 40 minut. Upieczony i przestudzony marmoladnik lukrujemy. Wstawiamy ciasto do ciepłego piekarnika na 5 minut, aby lukier obsechł.

Przepis na lukier: białko z 15 dag cukru ucieramy w kamionce z 1 łyżeczką octu przez 20 minut.

(*gm*)

RADY BABUNI

Do czego może służyć CZOSNEK?

Że ma działanie bakteriobójcze i że jest używany do różnych potraw, bo podnosi ich walory smakowe – wiemy wszyscy, ale warto też wiedzieć, że można go jeszcze inaczej wykorzystać w gospodarstwie domowym.

● Pęknięte naczynie z kamionki czy grubego fajansu można skleić sokiem z czosnku. Czysto wymyte i wysuszone brzegi naczynia mocno natrzeć świeżo przekrojonym ząbkiem czosnku. Połączyć brzegi, całość ściśle obwiązać tasiemką lub sznurkiem i pozostawić do wyschnięcia na 3 dni. Po upływie tego czasu odwiązać sznurek. Połączenie jest tak trwałe, że do sklejonego naczynia można nawet wlewać wrzątek.

● Bolący odcisk łatwo zlikwidować, jeśli po wymoczeniu nogi w gorącej wodzie położymy na bolące miejsca przekrojony ząbek czosnku, owiniemy bandażem i pozostawimy na 8–10 godzin.

● Jeśli użądli cię pszczoła lub osa, świeżo pokrojony ząbek czosnku (podobnie jak cebula) przynosi ulgę i likwiduje opuchliznę.

Do czego może służyć SÓL?

● Jeśli olej jest mętny, wsypujemy do butelki łyżkę soli. Wówczas sklaruje się i będzie przejrzysty.

● Plamy na porcelanowych talerzykach i filiżankach znikną, jeśli przetrzemy je szmatką zanurzoną w soli.

● Ubijanie śmietany na krem i białek na pianę przebiegać będzie szybciej, jeśli dodamy odrobinę soli.

(*gm*)

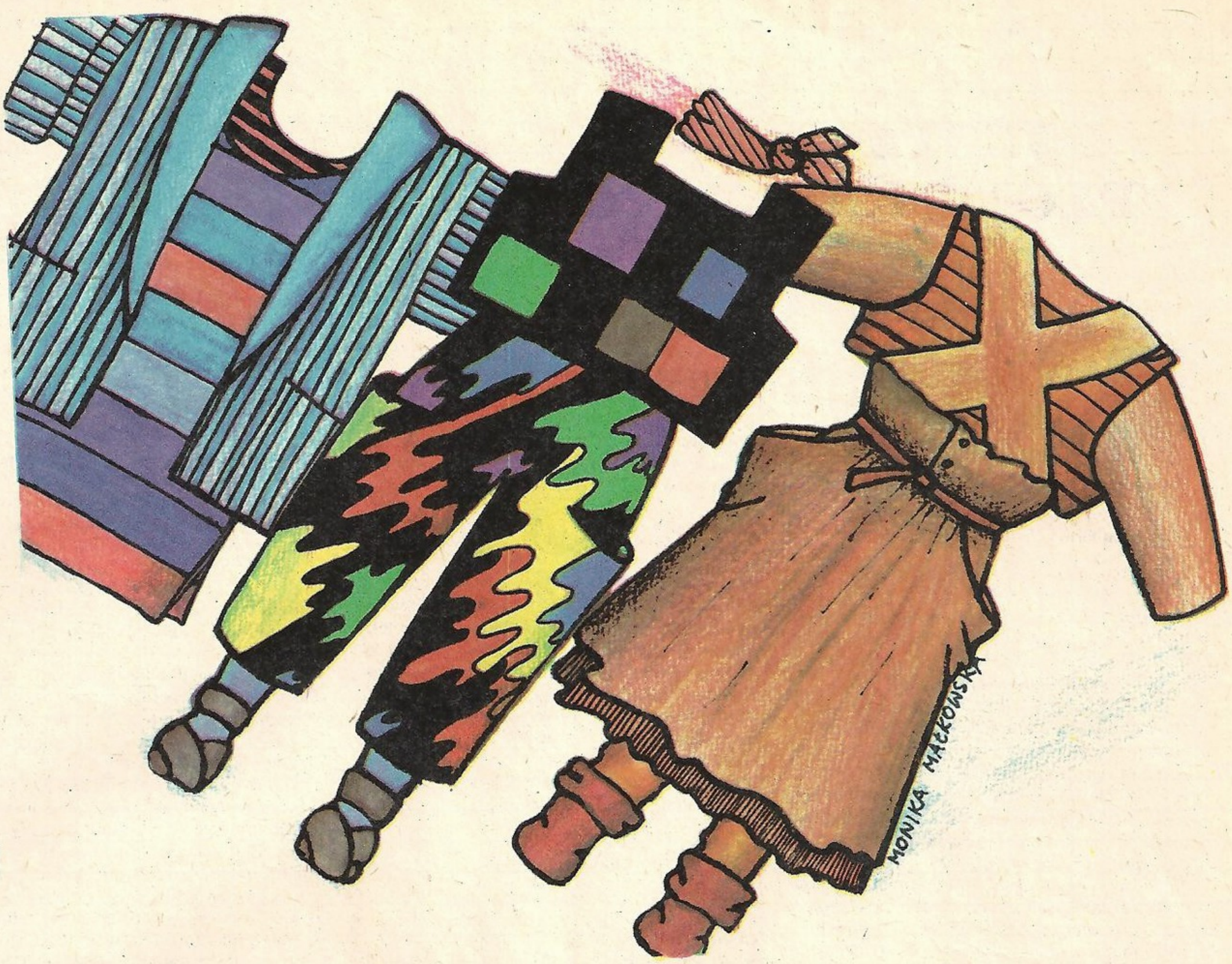

CO z CZYM

Jeszcze jakieś dwadzieścia lat temu wszystko było jasne. Chciałaś być elegancka, to do czegoś wzorzystego nie wkładałaś czegoś drukowanego w inny deseń. Chciałaś być w zgodzie z kanonami estetyki stroju, ujednolicałaś kolorystycznie wszystkie dodatki. Chciałaś być szykowna, dbałaś o to, by jeden ciuch spod drugiego nie wystawał. I tak dalej...

Ale od jakichś dwóch-trzech lat dyktatorom mody pokręciło się w głowach kompletnie. Co prawda krok po kroku następowało rozluźnianie wszelkich reguł, jednak wielcy dyktatorzy mody poluzowali sobie do tego stopnia, że ich propozycje zadziwiłyby nawet Murzynów z najmniej cywilizowanych zakątków Afryki. Oczywiście, nie wszyscy straszą jarmarkiem, jest paru nobliwych i powściągliwych.

Ale choćby taki Gaultier, Francuz zresztą, robi sobie z poważnej klienteli jajo zupełne i jak do tej pory nie tylko uchodzi mu to płazem, lecz i nieźle nabija kabzę. Czyli, że coś w tym musi być, i jest: inna koncepcja stroju, zgodna z duchem naszych skomplikowanych czasów.

Jest to koncepcja skrajnie artystyczna, bliska malarstwu i rzeźbie. Ubiór tworzy się jak obraz, co oznacza, że reguły kompozycji – regułami, ale w końcu najważniejszy jest ogólny efekt końcowy, który powinien zawierać w sobie element zaskoczenia. To właśnie drobne uchybienia regułom decydują, że jakieś dzieło sztuki pociąga i intryguje, podczas gdy całkowicie poprawne – nuży układnością. Przeciwko układności ubiorowej moda zbuntowała się już dawno, i w coraz inny sposób to demonstruje. Ponieważ szkół stroju tych buntowniczych i tych bardziej tradycyjnych jest tyle, co krawiecko-projektanckich indywidualności, nie sposób tu wszystkich scharakteryzować. Podejdźmy więc do sprawy w sposób możliwie najbardziej uproszczony.

Pierwsza z modnych interesujących szkół opowiada się za kojarzeniem wielu wzorów w jednym stroju. Chętnym na to radziłabym jednak sporą powściągliwość. Przystępuje się do akcji łączenia wielu deseni w jednym ubiorze z przymrużonymi oczyma (dosłownie!). Patrzymy na wzory i desenie ze zmrużonymi oczyma, żeby zobaczyć koloryt w nich dominujący, a nie sam rysunek wzorów. I zestawiamy tonacje barw. Wzory traktujemy jak różne faktury. Czasem ułatwia sprawę klasyfikowanie deseni tematami. Na przykład, kratki łączymy z kratkami, paski z prążkami, kwiecistości z łączkami, koła z kropeczkami, ciapki z ciapkami, „pikasy" z abstrakcją. I cały czas mamy na planie pierwszym kolorystykę kreacji, bez roztrząsania szczegółów.

Inną regułą komponowania stroju jet zestawianie materii wedle intensywności barw. Żywe tonacje łączy się z jaskrawymi, i to w dużym stłoczeniu, nie tylko w kontrastowym duecie. Możemy dojść do takiej konstrukcji odzienia, że każdy jego element będzie w innym, ale zawsze równie czystym kolorze, a całość zespala czerń. Ta sama myśl przyświeca ciuchowym układom utrzymywanym w pastelowej gamie. Komponuje się wiele jasnych, przyprószonych, rozbielonych barw po kilka, nawet kilkanaście razem. Wówczas często biel pełni funkję głównego łącznika.

Jeszcze inna, również aktualna metoda łączeń różnych elementów przyodziewku, na pewno przypadnie do gustu czytelniczkom bardziej przywiązanym do tradycji. Jest to sposób ubierania się w wielu tonach tego samego koloru, ewentualnie z jednym akcentem wyrwanym z tej gamy. Jest to właściwie najpewniejszy sposób, żeby nie czuć się niepewnie czy głupio, nie prowokować bliźnich i jednocześnie mieścić się w dzisiejszej modzie. Na przykład, nosi się parę odcieni różu, kilka tonów zieleni wyprowadzonych z jednej, podstawowej barwy. Wydawać by się mogło, że jest to już naprawdę grzeczny sposób komponowania stroju. Jednak nawet ten klasyczny rodzaj łączeń może być lekko szokujący, jeśli kolor wiodący nie mieści się w tzw. ogólnie przyjętej normie. Co to za norma?

Otóż panuje u nas dość powszechna opinia, że elegancja powinna być dyskretnie szarawa. Większość woli ubierać się w bezpiecznie przybrudzone, bure kolory. Jest to kompletna bzdura. Burość czy szarość ubioru w niczym nie jest lepsza od choćby ostrej żółci. Żywy kolorystyczny akcent pojawiający się w czyimś stroju rozjaśnia nasze szare ulice, przyciąga uwagę większości i... zazwyczaj oburza. Wyjątek stanowią Cyganie, których urodziwa pstrokatość nikogo nie drażni. Za to nietolerancja wobec współziomków jest zadziwiająca.

Błagam, nie poddawajcie się temu daltonizmowi. Bądźcie wrażliwe na kolory. Niech Was cieszy uroda żywych, czystych barw, dobrze ze sobą zestawionych. Bo w przeciwnym wypadku nasza rozmowa będzie jak rozmowa ze ślepym o kolorach.

ELŻBIETA MONIKA MAŁKOWSKA

POCZTA »PŁOMYKA«

W imieniu Firmy „Foto-Pstryk"

Droga Redakcjo!

„Płomyk" nieczęsto gości u nas w domu, gdyż dzieci mi powyrastały, a wnuki są jeszcze niepiśmienne. Ale po czasie Przyjaciele przynieśli.
– Spójrz, Andrzej, to twój Sergiusz!
Zgadza się, to ten właśnie Sergiusz był moim starszym asystentem Firmy „FOTO-PSTRYK", którą wraz z chłopcami w rejsie „Szkoły pod Żaglami" prowadziłem na „POGORII". Ponieważ w nrze 8 „Płomyka" było wezwanie, aby odezwali się koledzy Sergiusza, melduję się i jak przystało na Prezesa Firmy, kładę na Wasz redakcyjny stół zdjęcia „POGORII" powracającej z Wielkiego Rejsu. Jest to moment, gdy sterany podróżą statek wchodzi do gorąco nas witającej Gdyni. A potem radości nie było już końca!
Takiego rejsu, jak nasz, życzy wszystkim czytelnikom „Płomyka"

Starszy nad Kubrykiem
Andrzej Drapella
Kapitan Żeglugi Wielkiej

Kto już przeczytał książkę Sergiusza Nawrockiego o rejsie „Pogorii", wie dobrze, jak ważną instytucją na pokładzie była Firma „Foto-Pstryk" i jak wiele miłych wspomnień związanych z osobą Prezesa Firmy pozostało w pamięci Sergiusza. Dziękujemy Kapitanowi Andrzejowi Drapelli za miły list i zdjęcia. Jedno z nich, przedstawiające powitanie powracającej „Pogorii" w Gdyni, zamieszczamy. A obok – reprodukcja okładki gotowej już książki „Byłem kaczorem" wydanej przez „Glob". Zdobi ją ponad setka świetnych zdjęć Prezesa-Kapitana.
Czekamy na wasze opinie i wrażenia po jej przeczytaniu. Najciekawsze – zamieścimy w rubryce Klubu Krążącej Książki. Miłośników książek o tematyce morskiej prosimy, aby zachęcili przy sposobności Kolegów-Płomykowców do przeczytania innych jeszcze, szczególnie wartych poznania książek młodzieżowo-marynistycznych.

Chomik to moje hobby

Mam 14 lat, skończyłam VII klasę. Bardzo lubię zwierzęta, a w szczególności chomiki. Proszę wszystkich rówieśników: napiszcie do mnie – ci, którzy mają chomiki i ci, którzy by chcieli je mieć. Będziemy się wymieniać naszymi wiadomościami i doświadczeniami hodowlanymi. Czekam na listy od Was.

Joanna Chrzanowska
ul. 22 Lipca 13/17; 73-200 Choszczno

Wielu jest „chomikowców", a więc obawiamy się, że nie zdołasz odpisać na wszystkie listy. No i – mogłabyś zbankrutować! Może więc byłoby dobrze gdyby Ci, którzy proszą o radę, załączali znaczki na odpowiedź. Gdyby nadeszło zbyt wiele listów, mogłabyś je rozdzielić do odpisania pomiędzy innych zamiłowanych i doświadczonych hodowców, którzy zgłoszą w swoich listach chęć pomocy mniej doświadczonym. W ten sposób rozszerzyłby się krąg korespondujących ze sobą „chomikowców".

Życie straciło dla mnie sens...

Nie wiem, czy wydrukujecie mój list, ale muszę się komuś zwierzyć, komuś przedstawić swoje zmartwienia.
Mam 13 lat, chodzę do VII klasy. Uczę się bardzo dobrze, mam rodziców, rodzeństwo, dom, urodę i powodzenie u chłopców. Wydawałoby się, że jestem szczęśliwa. Ale tak nie jest – z powodu mojego ojca.
Nie tak dawno był bardzo dobry, kochający i czuły dla mnie, rodzeństwa, dla mamy. Wtedy, chociaż nie miałam magnetofonu, czy też modnych ciuchów byłam chyba najszczęśliwsza. Obecnie jest inaczej. Posiadam magnetofon, sporo ciuchów, własny pokój, ale nie mam prawdziwego wyrozumiałego ojca. Przyczyną tego jest alkohol. Niemal codziennie ojciec przychodzi do domu pijany, przyprowadza kolegów, a oprócz tego urządza awantury. Po wytrzeźwieniu znowu potrafi być dobry. Dzisiaj także poszedł na taką „hulankę". Są momenty, że po prostu nienawidzę go do tego stopnia, że potrafiłabym go zabić...
Może (jeśli wydrukujecie mój list) wielu czytelników pomyśli, że zbytnio rozczulam się nad sobą, że każdy ma w końcu jakieś zmartwienia. Ale ja szczerze zazdroszczę „Strapionej Annie" (której list wydrukowany był w 5 nrze z br.) czy „Zrozpaczonej Kamie" (w 3 nrze z br.), których rodzice nie potrafią się wprawdzie z nimi dogadać, ale nie są tacy jak mój ojciec. Myślę, że nie może być nic gorszego od sytuacji, jaka jest w mojej rodzinie. Mogłabym jak Isaura ze znanego serialu powiedzieć: „Życie straciło dla mnie sens"... Nie ma na świecie sprawiedliwości, nie wiem, dlaczego taki los spotkał właśnie mnie. Wiem, że teraz już nic się w mojej rodzinie nigdy nie zmieni. Mimo że wśród kolegów próbuję zapomnieć o tym nieszczęściu, być dla wszystkich miła, życzliwa, nie udaje mi się to.
Chciałabym, aby ten list był wydrukowany i aby wszyscy zrozumieli, co znaczy prawdziwe nieszczęście wobec nieszczęścia Anny czy Kamy.

Małgorzata z Lublina

A jednak nie możemy się zgodzić z powoływaniem się przez Ciebie na słowa Isaury. Przecież właśnie jej losy świadczą o tym, że nie ma w życiu sytuacji beznadziejnych. Alkoholizm jest chorobą, z którą można i trzeba walczyć. Musi wiedzieć o tym każdy, kto przeżywa podobne nieszczęście, jak Ty i twoja matka. Musi przede wszystkim uprzytomnić to sobie twój ojciec, który na pewno nie jest jeszcze do tego stopnia owładnięty chorobą, aby nie można mu było pomóc. Dlatego musisz pohamować rozpacz oraz nienawiść i wspólnie ze swoją mamą podjąć walkę o uratowanie waszej rodziny. Nie trzeba licytować się, czyje zmartwienia są większe. Warto natomiast wierzyć, że żadne nie jest w stanie odebrać sens życiu. Szczególnie, gdy się przeżyło zaledwie „naście" lat. Czekamy na następny twój list, kiedy będziesz już mogła napisać, że odnalazłaś w sobie dość siły, żeby wraz z mamą nie poddawać się złemu losowi.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z numeru 11 – „Okazje przemijają jak chmury". – Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie wylosowali: Agnieszka Godziembska (Kutno), Elżbieta Gołocińska (Lublin), Edyta Jarosławiec (Lubaczów), Celina Kaczor (Warszawa), Anna Marzec (Lublin), Joanna Remplewicz (Sierpc), Elżbieta Springer (Poznań), Sylwia Sadowska (Lublin), Anna Tomczak (Zamość), Beata Wrześniewska (Lidzbark Warm.).

Fot. Dariusz Drapella

GIEŁDA HOBBISTÓW nr 289

1. *Ewa Adamczak*, lat 14, filatelistyka, sport, plakaty, rock – ul. Polna 4, 55-036 Pęgów
2. *Zbigniew Adamczyk*, lat 13, mitologia grecka, marynarka wojenna, kaktusy – Kol. Dobryń, 21-512 Zalesie
3. *Ewa Adamek*, lat 13, akwarystyka, książki, pocztówki – ul. ZMP 7/3, 41-200 Sosnowiec
4. *Bożena Bagan*, lat 12, znaczki, przepisy kulinarne, moda, poezja – LSRR ul. Żemaitisa 1-74, Wilno
5. *Monika Bańdo*, lat 14, rock, plakaty – ul. Poprzeczna 1/22, 34-100 Wadowice
6. *Dorota Barszcz*, lat 13, biologia, filatelistyka, rock, plakaty – Os. Młodych, ul. Centralna 43, 07-200 Wyszków
7. *Katarzyna Bednarek*, lat 14, gimnastyka artystyczna, plakaty, rock – Owieczki 37a, 98-363 Klonowa
8. *Magdalena Błachut*, lat 15, psychozabawy, plakaty, wróżby, rock – ul. Brodzińskiego 18/9, 33-100 Tarnów
9. *Marta Bodzoń*, lat 15, widokówki, sport, rock – 32-040 Świątniki Górne 330
10. *Grzegorz Całek*, lat 14, filatelistyka, UFO, piłka nożna – ul. Jasnodworska 12/28, 01-745 Warszawa
11. *Krzysztof Chmielecki*, lat 13, samochody, komiksy, filatelistyka, pocztówki (bajki) – ul. Dworcowa 23b/2, 83-130 Pelplin.
12. *Katarzyna Chojecka*, lat 14, język angielski, moda – Os. 650-lecia, ul. Staffa 12/73, 95-100 Zgierz
13. *Monika Ciężka*, lat 12, książki, plakaty, moda – ul. Kalinowa 12/64, 21-040 Świdnik
14. *Anna Cyranek*, lat 13, kalendarzyki, znaczki, pocztówki, naklejki – 28-511 Dobiesławiec 84
15. *Alicja Czerniawska*, lat 12, jęz. francuski, filatelistyka, judo – ul. Czaplińiecka 70/2, 97-400 Bełchatów
16. *Ewa Czerniawska*, lat 14, znaczki, pocztówki, rock – ul. Pionowa 14, 15-561 Białystok
17. *Jacek Dąbek*, lat 15, lotnictwo, wędkarstwo, jęz. polski, rock – ul. Moniuszki 17/1, 26-110 Skarżysko Kam.
18. *Anna Deryło*, lat 14, fialtelistyka, haft, robótki ręczne – 23-424 Lipiny Dolne 60
19. *Katarzyna Dorna*, lat 12, matematyka, filatelistyka, plakaty, rock – ul. Gajowa 10, 47-406 Racibórz – Brzeże
20. *Joanna Duchnowska*, lat 13, naklejki, humor – Os. Warzyń II, 10b/9 56-120 Brzeg Dolny
21. *Aurelia Dudek*, lat 15, muzyka, plakaty – ul. Miedziana 24, 32-520 Jaworzno
22. *Krystyna Dziachel*, lat 14, psychozabawy, muzyka – ul. Sikorskiego 40, 72-101 Goleniów
23. *Hanna Faryniuk*, lat 14, muzyka, taniec, plakaty – ul. Zbąszyńska 90, 64-225 Kopanica
24. *Joanna Figurska*, lat 15, geografia, matematyka, rock – ul. Woj. Polskiego 14a, 13-300 Nowe Miasto Lub.
25. *Małgorzata Filipowicz*, lat 15, medycyna, rock, plakaty – ul. Wołodyjowskiego 11/34, 20-627 Lublin
26. *Marta Flader*, lat 15, horoskopy, moda, rock, sport – ul. Grunwaldzka 139a/4, 37-700 Przemyśl
27. *Anna Folwarczna*, lat 12, jęz. (polski, czeski, ros.), pocztówki – CSRS, ul. Sielska 27/401, Haviroy – Biudowice, 73601
28. *Renata Gałecka*, lat 13, kaktusy, gliniaczki, plakaty, widokówki – ul. Kwiatowa 48, 97-300 Piotrków Tryb.
29. *Bożena Głąbik*, lat 15, historia, film, rock – ul. Szkolna 12, 47-110 Kolonowskie
30. *Katarzyna Gostkowska*, lat 14, filatelistyka, plakaty, widokówki – ul. Kolejowa 19, 84-300 Lębork – Mosty
31. *Dariusz Gryba*, lat 12, książki, znaczki, plakaty, widokówki – Wólka Grodziska 46, 37-306 Grodzisko Dolne
32. *Marzena Grzywacz*, lat 14, geografia, książki, plakaty, rock – ul. Wybudowanie 14, 13-340 Biskupiec
33. *Beata Gucwa*, lat 14, plakaty, sport, rock – Śniardwy 2/90, 02-695 Warszawa
34. *Bożena Hapanowicz*, lat 14, kulturystyka – 48-349 Gierałcice 167
35. *Agata Hojny*, lat 15, plakaty, moda, rock – 34-108 Frydrychowice 158
36. *Ewa Jabłońska*, lat 12, znaczki, widokówki, piosenki, plakaty (rock) – ul. Nowomiejska 20/19, 16-400 Suwałki
37. *Krzysztof Jagieło*, lat 12, filatelistyka, motoryzacja, plakaty, rock – Ołobok 23, 59-723 Parowa
38. *Tomasz Jegierski*, lat 13, filatelistyka, pocztówki, numizmatyka – ul. Składowa 5/10, 11-510 Wydminy
39. *Artur Juchniewicz*, lat 15, filatelistyka, proporczyki, sport – ul. 22 Lipca 33/15, 90-616 Łódź
40. *Ewa Kaczmarewicz*, lat 14, II wojna światowa, pocztówki, fot. aktorów – ul. Sowińskiego 8, 07-200 Wyszków
41. *Sylwia Kamińska*, lat 14, filatelistyka, plakaty zesp. muzycznych – ul. Śniadeckich 12/29, 86-300 Grudziądz
42. *Beata Kania*, lat 12, widokówki, historyjki obrazkowe – 43-374 Buczkowice 935
43. *Renata Kania*, lat 13, sport, widokówki – Piastów 26, 58-573 Piechowice
44. *Roman Karepin*, lat 12, historia, geografia, tenis, piłka nożna – Kiełpinek, 77-323 Połnica
45. *Krystyna Knap*, lat 13, historia, humor, sport, rock – ul. Targowa 12/3, 82-500 Kwidzyń
46. *Michał Kokot*, lat 12, biologia, filatelistyka, rock – ul. Piastowska 25a, 42-780 Dobrodzuń
47. *Marta Komaniecka*, lat 15, wiersze do pamiętnika, humor, wróżby – ul. Sucharskiego 6i/2, 56-400 Oleśnica
48. *Wojciech Kondyjowski*, lat 13, przepisy kulinarne, moda dziecięca, plakaty – ul. Osiedle 26, 38-520 Rymanów
49. *Joanna Konieczna*, lat 14, medycyna, konie, rock – ul. Grotnicka 10, 64-140 Włoszakowice
50. *Dorota Kowalczyk*, lat 13, sport, plakaty, rock – ul. Kopernika 39, 06-500 Mława
51. *Paulina Kozera*, lat 12, jęz. angielski, plakaty, rock – ul. S. Sterlinga 20/9, 90-217 Łódź
52. *Urszula Kursa*, lat 14, książki, widokówki, znaczki, sport – Wólka Gołębska, 24-101 Gołąb
53. *Ireneusz Lipski*, lat 14, znaczki, samochody, piosenkarze – ul. J. Dąbrowskiego 15, 17-300 Siemiatycze
54. *Marlena Łącka*, lat 12, zwierzęta, piosenki, moda, sport – ul. Stroma 4, 97-500 Radomsko
55. *Małgorzata Magryś*, lat 14, sport, plakaty, rock – 37-123 Handzlówka 391
56. *Iwona Maliszewska*, lat 15, matematyka, chemia, książki, UFO – Żukowo, 09-162 Nocpolsk
57. *Małgorzata Maliszewska*, lat 14, widokówki, plakaty piosenkarzy – ul. Świerczewskiego 37/1, 66-110 Babimost
58. *Małgorzata Maternik*, lat 12, historia, taniec, nalepki, pocztówki – ul. Topolowa 3, 11-227 Kamińsk
59. *Waldemar Mazurek*, lat 15, znaczki, sport, plakaty, rock – Jasiennik Stary 63, 23-424 Lipiny Dolne
60. *Katarzyna Michno*, lat 13, naklejki, humor, rock, piosenki – ul. Przechodnia 17/40, 77-310 Debrzno
61. *Anna Mikołajszyk*, lat 15, kalendarzyki, filatelistyka, pocztówki – Osówka, 87-632 Ograszka
62. *Katarzyna Modzelewska*, lat 13, chemia, biologia, muzyka – Zakrzew 41, 96-513 Nowa Sucha
63. *Renata Mogielnicka*, lat 15, matematyka, zioła, kwiaty, malarstwo – Wólka Wieprzecka, 22-446 Kosobudy
64. *Tadeusz Nowak*, lat 15, matematyka, historia, sport – ul. Świętojańska 29/4, 17-300 Siemiatycze
65. *Agnieszka Ociepka*, lat 13, biologia, pocztówki (konie, psy, koty) – ul. Mała 2, 38-520 Rymanów
66. *Małgorzata Ostołska*, lat 15, matematyka, karate, rock – 23-424 Lipiny Dolne, Kolonia 21
67. *Marzena Osuch*, lat 14, książki, przepisy kulinarne, rock, moda – Łobzów 76, 32-340 Wolbrom
68. *Katarzyna Paduch*, lat 15, matematyka, gimnastyka, jęz. angielski, rock – ul. Kopernika 18, 42-134 Truskolasy
69. *Agnieszka Pasternak*, lat 12, balet, pocztówki (miasta), nalepki – ul. Ciepła 6/5, 50-524 Wrocław
70. *Małgorzata Pawlak*, lat 12, znaczki, łyżwiarstwo, widokówki – ul. Ogrodowa 7/14, 64-962 Sypniewo
71. *Jadwiga Pawłowska*, lat 15, chemia, matematyka, pocztówki, muzyka – ul. Krzywa 17, 24-220 Niedrzwica Duża
72. *Elżbieta Paziewska*, lat 12, harcerstwo, wróżby, rock – Budy Michałowskie, 96-316 Międzyborów
73. *Krzysztof Plewa*, lat 13, akwarystyka, przewodniki turystyczne – Os. Piastowskie 20/46, 61-148 Poznań
74. *Aleksandra Pluskota*, lat 13, turystyka, widokówki, plakaty – Owieczki 32, 98-363 Klonowa
75. *Arlena Polak*, lat 12, plakaty, pocztówki, rock – ul. Rynek 28/4, 63-600 Kępno
76. *Katarzyna Ptasznik*, lat 13, widokówki, naklejki, plakaty (rock) – Os. Warzyń II 10d/5, 56-120 Brzeg Dolny
77. *Ewa Puchalska*, lat 13, przepisy kulinarne, humor, moda, rock – Ostra Góra 38, 16-140 Korycin
78. *Ewa Raczkowska*, lat 15, kosmos, pocztówki, moda – Papiernia 4/7, 16-400 Suwałki
79. *Beata Ruta*, lat 14, chemia, biologia, pocztówki – ul. Wieniecka 48/176, 87-800 Włocławek
80. *Agnieszka Sapeta*, lat 13, kalendarzyki, książki, pocztówki (bajki, zwierzęta) – Os. XX-lecia PRL 8/21, 34-350 Węgierska Górka
81. *Jerzy Sieńkowski*, lat 13, film, samochody, humor, znaczki – Sulnikowo, 06-126 Gzy
82. *Katarzyna Sierocka*, lat 14, długopisy, moda, rock – Pl. Kościuszki 25, 99-200 Poddębice
83. *Jadwiga Sikora*, lat 14, historia, jęz. polski, znaczki, rock – 21-144 Stoczek Kocki
84. *Dariusz Skrodzki*, lat 12, geografia, Indianie, humor, książki – ul. Sikorskiego 3/48, 18-500 Kolno
85. *Michał Stasiak*, lat 15, znaczki, konie, sport – ul. Chmielna 116/118 m 60, 00-801 Warszawa
86. *Anna Staszowska*, lat 15, filatelistyka, tarcze szkolne, robótki na drutach – ul. Boh. ORMO 17/8, 23-300 Janów Lub.
87. *Jolanta Stecka*, lat 15, jęz. niemiecki, chemia, moda, judo – ul. Świerczewskiego 8/24, 13-300 Nowe Miasto
88. *Mirosława Szczerbal*, lat 12, historia, geografia, plakaty, rock – Wystok 21, 66-234 Boczów
89. *Aleksandra Szygulska*, lat 13, znaczki, ((widokówki, muzyka – ul. Górna 23, 42-540 Sosnowiec
90. *Krystyna Świątczak*, lat 15, medycyna, sport, muzyka – ul. Robotnicza 7, 98-300 Wieluń
91. *Weronika Tadrowska*, lat 12, historia, turystyka, rock – Niedźwiady, 88-420 Rogowo
92. *Edyta Thiel*, lat 14, książki, znaczki, pocztówki, plakaty – ul. Opolska 33b, 47-312 Rogów Opolski
93. *Joanna Trygar*, lat 14, harcerstwo, jęz. angielski, muzyka – 38-521 Rymanów Zdrój 324
94. *Anna Trzaciak*, lat 14, biologia, pocztówki, rock – ul. Buczka 23, 16-100 Sokółka
95. *Marek Tyloch*, lat 15, historia, geografia, przyroda, plakaty – ul. Wrocławska 16c/24, 45-707 Opole
96. *Elżbieta Wiśniewska*, lat 14, harcerstwo, humor, rock – ul. Kolejowa 11a, 13-300 Nowe Miasto Lubawskie
97. *Józef Wojtasik*, lat 14, samochody, sport, rock – Ryn, 62-618 Zaryń
98. *Katarzyna Zel*, lat 15, turystyka rowerowa, siatkówka, moda – ul. Północna 23/16, 40-658 Katowice
99. *Lucyna Zmitrowicz*, lat 13, pocztówki (przyrodnicze), nalepki – LSRR, 232015 Wilno, ul. Skrobłu 25/198
100. *Agnieszka Żurek*, lat 13, jęz. rosyjski, plakaty zespołów piosenkarzy – ul. Cicha 16/19, 58-400 Kamienna Góra

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie	120 zł
półrocznie	240 zł
rocznie	480 zł

WARUNKI PRENUMERATY

- **Dla prenumerat indywidualnych:**
  - osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
  - osoby zamieszkałe w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora; wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty";
- **Dla instytucji i zakładów pracy:**
  - instytucje i zakłady pracy w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w tych oddziałach;
  - instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.
- Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11; prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
- **Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:**
  do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok 1986.

Dwutygodnik dla młodzieży
10 sierpnia 1985 r. – Warszawa

Skład oraz druk wykonały Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie.

Nakład 250 000 egz.

Zamówienie nr 2609/CD. N-23

ADRES REDAKCJI
00-950 Warszawa
ul. Spasowskiego 4
skrytka pocztowa 380

TELEFONY
26-24-31 w. 82 lub 80
26-26-31 (redaktor naczelny)

INDEKS: 36876

KRZYŻÓWKA

Objaśnienia haseł na str. 18

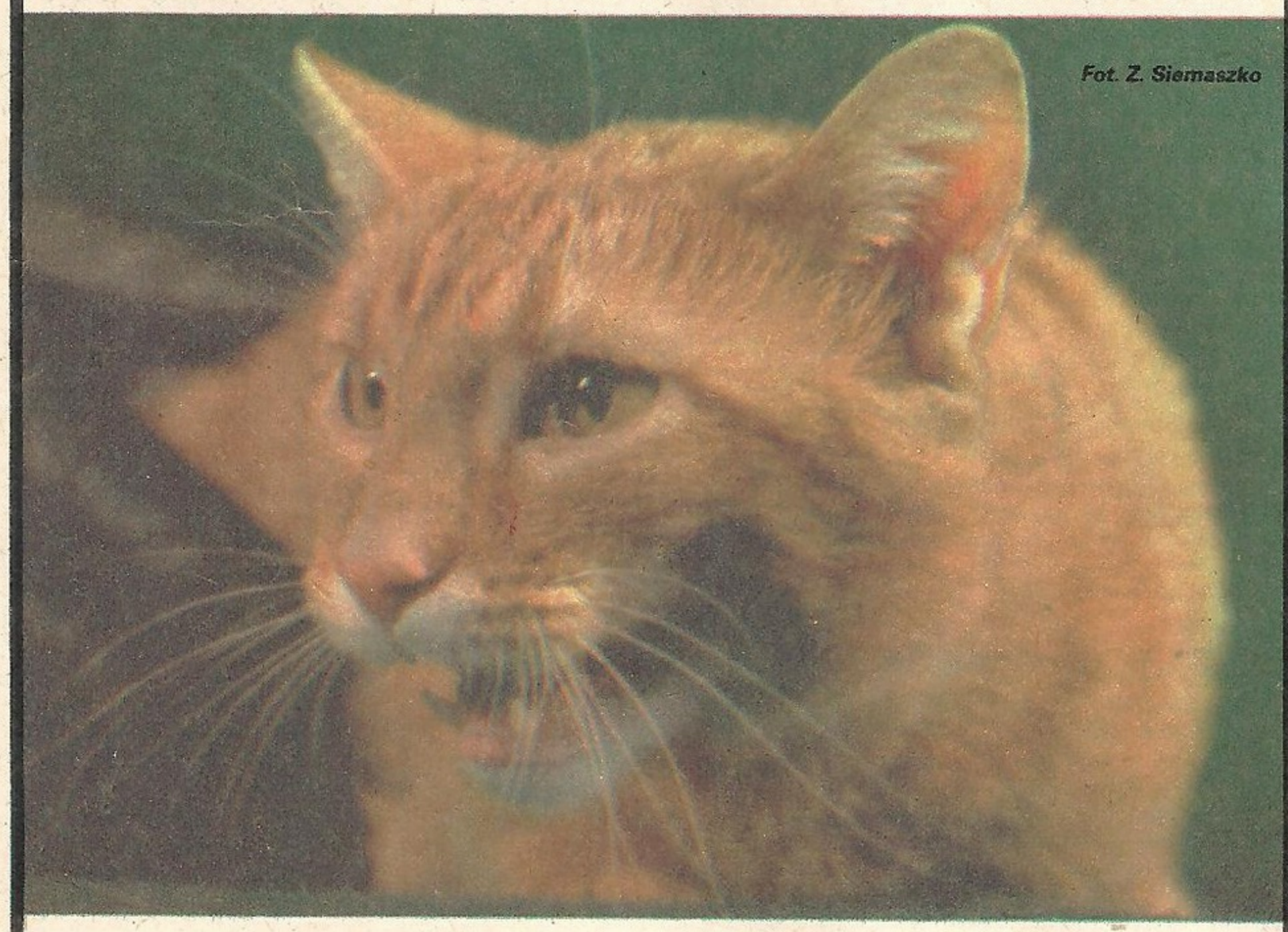

Fot. Z. Siemaszko

Z IDOLEM

Nazywam się „Idol" i dlatego właśnie trafiłem do krzyżówkowego okienka... Jeśli się Wam nie podobam – to trudno! Lubię kocią muzykę!

CENA 20 zł

– Lepiej zostań – zdenerwowała się Ewa. – Ktoś powinien być w domu, na wypadek gdyby Aurelia wróciła.

– Miałaby wrócić teraz, w środku nocy? Jakim cudem? Na pewno śpi – rzekł rozsądnie Eugeniusz Jedwabiński.

– Gdzie śpi?! – krzyknęła Ewa, podczas gdy winda monotonnie osuwała się w dół. – Nie ma jej w szpitalach, nie ma na milicji, nie ma u nikogo z naszych znajomych, wszędzie dzwoniłam. Jest jeszcze tylko jedno miejsce, gdzie ona może być i tam właśnie idę, chociaż wolałabym tego nie robić nigdy w życiu! Proszę, żebyś został, żebyś nie szedł tam ze mną.

– Dlaczego? Co to za miejsce? – zdumiał się pan Jedwabiński.

Winda zatrzymała się, byli na parterze.

– Zostań, Eugeniuszu, bardzo cię proszę – z naciskiem powiedziała Ewa. – Zostań w domu i czekaj na moje dziecko.

– O, nie, chwileczkę – zaoponował pan Jedwabiński. – Idę z tobą. Ostatecznie, to także i moje dziecko.

– Jakoś rzadko o tym pamiętasz! – wybuchnęła Ewa. – Zazwyczaj całkiem cię ona nie obchodzi! Biedna mała! Traktujesz ją jak zabawkę, jak... jak tresowaną małpkę! Potrzebna ci jest tylko po to, żeby deklamowała wierszyki, kiedy przyjdzie twój dyrektor!

– A tobie nie jest potrzebna wcale! Nawet do wierszyków! – wrzasnął rozżalony małżonek. – Obcym ją oddajesz, bo ci przeszkadza! Całymi dniami nie ma jej w domu! Co to za dom zresztą! To nie dom, tylko wystawa mebli! Nic dziwnego, że dziecko wolało uciec! Ja też co dzień uciekam!

I tak dalej, i tak dalej. Drogę na ulicę Roosevelta małżonkowie przebyli w szybkim tempie, kłócąc się bez przerwy i obsypując oskarżeniami, a także zarzucając sobie nawzajem zupełny egoizm. Jak to bywa w sytuacjach, gdy sumienie doskwiera, woleli niepokój z tym związany oddalić i zagłuszyć, przerzucając winę na drugą osobę.

Na szczęście droga nie była zbyt długa i nie zdążyli pokłócić się na dobre. Stanęli przed ozdobną bramą kamienicy numer pięć i spór urwał się samoczynnie, ponieważ Eugeniusz Jedwabiński chciał się dowiedzieć, do kogo Ewa idzie i czy nie zwariowała przypadkiem, nachodząc ludzi po nocy.

– Ona tu musi być! – oświadczyła gorączkowo Ewa. – I nic mnie nie obchodzi, czy ci ludzie śpią czy nie! Ja szukam mojego dziecka!

To powiedziawszy, wdarła się do bramy, zapaliła światło i przestudiowała listę lokatorów, bez trudu odnajdując numer mieszkania państwa Lewandowskich. Pobiegła korytarzem sutereny i znalazłszy się przed właściwymi drzwiami, nacisnęła guzik dzwonka.

Nacisnęła raz, drugi i trzeci. Nikt nie otwierał. Ewa zadzwoniła raz jeszcze, mocno i długo, powodując serię psykań ze strony Eugeniusza, potem – wobec braku reakcji za drzwiami – wyobraziła sobie, że podli członkowie rodziny Lewandowskich przytaili się gdzieś w mroku, ukrywając jej biedne dziecko i udają tylko, że nie słyszą, jak ona się dobija – więc załomotała pięścią do drzwi i wtedy doczekała się reakcji. Za drzwiami męski głos powiedział. – Idę, idę! – ktoś zaczłapał pantoflami, szczęknęła zasuwka, drzwi uchylono, pozostawiając zabezpieczający je łańcuch.

W szparze ukazał się czarniawy wąsacz o gołym torsie, nakrytym kurtką od piżamy. Oblicze jego było nasępione, a spojrzenie niechętne i czujne. Zlustrował parę natrętów, dokonawszy zaś wstępnej oceny, odprężył się nieznacznie i spytał głosem burkliwym, o co chodzi.

Był zagniewany, twarz miał skrzywioną, mrużył oczy od światła bijącego z gołej żarówki na korytarzu. Wyglądał na typowego mieszkańca sutereny i jako taki wyraźnie nie spodobał się Ewie.

– Nazywam się Jedwabińska – powiedziała znacząco.

– No, to co? – spojrzał z niechęcią mieszkaniec sutereny.

– Nic to panu nie mówi?

– Kompletnie.

– A zna pan Geniusię?

– Znam.

– Nie, nie obraziłam się! – powiedziała szybciutko. – Ja tylko się bałam przyjść.

– Ale czemu? – wykrzyknęła serdecznie wysoka kobieta. – Wszystko się dobrze skończyło. Wiesz, że Sławek się zaręczył?

– Wiem, wiem, ja wtedy właśnie byłam u Idy – powiedziała Aurelia, kiwając radośnie głową.

Osłupiała Ewa stała bez ruchu i nawet nie mrugała, chłonąc każde słowo.

Wysoka kobieta skierowała na nią swoje bystre i ciekawskie spojrzenie. Ewa miała idiotyczne uczucie, że te intensywnie błękitne oczy prześwietlają ją na wskroś.

– Na spacerek z mamusią, co? – spytała kobieta życzliwie, gładząc znów Aurelię po buzi. – Dzień dobry pani. Jestem Lewandowska.

– Jedwabińska – mruknęła Ewa.

Kobieta spojrzała na nią z zaskoczeniem. Potem jednak uśmiechnęła się znowu. – Ale też pani ma fajną córeczkę – powiedziała wesoło. – Mój mąż to ją lubi. Kiedy ta Geniusia znów przyjdzie, bo chciałbym się uśmiać, powiada – coś w twarzy Ewy zaniepokoiło widocznie panią Lewandowską, bo trochę zmierzchła. – No, nic, ja już pójdę – oświadczyła i przeniosła wzrok na Aurelię. – A ty, Geniusia, już się nie bocz dłużej, wpadnij do nas jutro, na śledzika. Właśnie dostałam kilo solonego, zrobię z cebulką, w śmietanie – uśmiechnęła się znowu i skręciła do bramy na prawo, znikając wkrótce za ciężkimi drzwiami o kobaltowych szybkach.

2.

– Kto – to – był?! – spytała Ewa, z trudem wymawiając słowa.

Aurelia spojrzała na nią błagalnie. W jej czarnych oczach zbierały się już łzy. – Miałyśmy iść do ZOO, mamusiu... – przypomniała jękliwym głosem, który Ewę zawsze, nieodmiennie, irytował.

– Przestań! – krzyknęła. – Nie mów mi teraz o głupstwach! Kto to była ta pani? Co ona... co ona mówiła o jakichś obiadkach?!

Aurelia uderzyła w płacz.

– Ja ci powiem, mamusiu... wszystko ci powiem... – szlochała, rozmazując łzy po twarzy. – Ale nie teraz, nie teraz... Chodźmy do ZOO, chodźmy do ZOO!!!

Gniew niemal Ewę oślepił.

– O, nie – powiedziała cicho i groźnie, prawie bez tchu. – Żadnego ZOO, teraz nie pora na spacerki. Wracamy do domu i...

– Nie! Nie! Nie do domu! Nie do domu!

– Uspokój się! – syknęła Ewa, bo już przechodnie zaczynali się oglądać za ryczącą wniebogłosy Aurelią. – Powiedziałam, wracamy do domu i tam mi wszystko opowiesz!

Złapała dziewczynkę za rękę i pociągnęła szybko za sobą.

Aurelia ryczała przez całą drogę. A ledwie tylko weszły do mieszkania, rzuciła się – jeszcze w płaszczu i bucikach – na swoje łóżko. Tam ukryła twarz w poduszce i kontynuowała swoje histerie. Ewa zamierzała po prostu przeczekać, aż się dzieciak uspokoi, ponieważ widziała, że na ten atak płaczu, nie ma innej rady. Ale zajrzawszy do pokoju stwierdziła, że Aurelia leży z tym ohydnym, brudnym psem szmacianym i płacząc, ssie znów ten nieszczęsny kciuk.

Na ten widok w Ewie coś jakby pękło.

Z krzykiem:

– Znów go znalazłaś!!! – wpadła do pokoiku, wyszarpnęła psa z rąk Aurelii i bez zastanowienia wyrzuciła go przez szeroko otwarte okno.

Sama nie widziała, dlaczego to zrobiła.

Przez chwilę miała wrażenie, że Aurelia wyskoczy za psem. Głupia mała, rzuciła się z krzykiem do okna, ledwie ją Ewa przytrzymała. Zatrzasnęła okno, oparła się o nie plecami, spojrzała na córkę.

Brzydkie, zapuchnięte, wykrzywione dziecko. Niedobre dziecko.

– W tej chwili wytłumacz mi to wszystko! – zażądała. – Dlaczego chodziłaś do tej pani... na obiady!

– Ja chcę iść do Pieska!!! – krzyknęła Aurelia strasznym głosem i rzuciła się do wyjścia.

– Pójdziesz – obiecała jej Ewa, zatrzaskując drzwi pokoiku. – Ale najpierw opowiesz mi o wszystkim. Dlaczego ona nazywała cię Geniusią?

– Ja chcę iść po Pieska!!!

– Aurelio, odpowiadaj, ja to muszę wiedzieć! Gdzie jeszcze byłaś na obiedzie? Do kogo jeszcze chodziłaś? Co to za Ida? Co to za Sławek?

– Ja... chcę... iść... po... Pieska!

– Dlaczego pani Lisiecka pozwalała ci tam chodzić? Boże wielki. Przecież ona nawet nie wiedziała!... – Ewa złapała się za czoło. – Czy ty sobie nie zdajesz sprawy... co mogło się stać? – Aurelia znów zaczęła nudzić o swoim piesku, więc Ewa potrząsnęła nią i krzyknęła: – Ty wstrętna, ty! Mogłaś wpaść pod samochód! Mogli cię porwać! Chodziłaś po cudzych domach! – usiadła na krześle bez sił. – Co za wstyd, co za wstyd! – jęknęła. – Moje dziecko żebrało o jedzenie! Boże, ja oszaleję. Do kogo jeszcze chodziłaś? Do kogo jeszcze?.. – Aurelia wstrząsana szlochem, osunęła się na podłogę i przycupnęła w kąciku koło szafy. Wyglądała jak mały szympans.

Ewa poczuła, że nie wytrzyma tego dłużej.

– Siedź tu! – przykazała. Wyszła z pokoiku i pobiegła do łazienki. Połknęła dwie tabletki, popiła, przemyła twarz zimną wodą. Straszliwie bolała ją głowa.

Trzymając się za czoło, wróciła do pokoiku.

Aurelii nie było. Drzwi na klatkę schodową stały otworem. Żółto pulsowała świetlna strzałka przy windzie.

Ewa podeszła do okna. Z góry zobaczyła, jak Aurelia wypada na chodnik i gorączkowo biega pod blokiem przeszukując każdy krzaczek.

Jakoś bez skutku szukała. Chyba ktoś już zabrał tego jej psa.

Ewie zrobiło się głupio. Mała figurka jej dziecka miotała się rozpaczliwie to w tę, to w tamtą stronę. Ewa mogła sobie wyobrazić, jak Aurelia zanosi się płaczem.

Zawstydziła się swojego wybuchu i tego zupełnie już idiotycznego wyrzucenia psa przez okno.

Zapięła płaszcz i wyszła z domu. Zjechała windą na dół i wybiegła przed blok ze szczerym postanowieniem, że pomoże Aurelii w poszukiwaniach.

Rozejrzała się.

Aurelii nie było.

Nie było jej pod domem ani za domem, ani na całym w ogóle podwórku. Ewa przebiegła całe osiedle, zanim wreszcie zdała sobie sprawę, że postępuje nieroztropnie, bo może Aurelia po prostu już znalazła psa i wróciła do domu. Ostatecznie, w bloku były dwie windy.

Wjechała na górę, pewna, że ujrzy dziecko czekające pod drzwiami mieszkania, obmyślając sobie, jak je teraz spokojnie skarci za takie histeryczne wyskoki.

Wyszła z windy i przekonała się, że Aurelii nie ma.

3.

Około godziny dwudziestej Maciej Ogorzałka stał przed drzwiami Kreski i przygładzał zwichrzoną czuprynę przy pomocy rozpostartej dłoni. Uczyniwszy co trzeba dla poprawienia swej aparycji (zawsze to człowiek ma w ręce więcej atutów, kiedy dobrze wygląda), nacisnął klamkę i wszedł.

Był nadal wzburzony i naładowany złością. Przybył tu właśnie po to, by swoje oburzenie Kresce wyrazić, i to jak najdobitniej. Tak, jak ułożył sobie wczoraj, chciał jej powiedzieć, co myśli o scenie, którą miał nieszczęście widzieć wczoraj w parku.

W miarę jednak, jak szedł długim korytarzem, ogarniało go onieśmielenie. W pustym pokoju profesora czuł się już całkiem niepewnie, zaś kiedy dotarł do drzwi kuchni, pamięć tamtego krzyku i przerażenia Kreski skłoniła go do bardzo delikatnego zapukania w futrynę.

– He, he – powiedziała z satysfakcją.

– Musiałam cię obudzić, bo już czas do domu. Mama tam pewnie płacze...

Genowefa wyraźnie zesztywniała, oczy jej zabiegały.

– Nie – powiedziała.

– Co „nie"?

Mała spojrzała dziko na Kreskę.

– Nie płacze! – oświadczyła z mocą. – Mama... wyjechała.

– Ejże? I nikogo nie ma w domu?

– Nikogo. Nikogo.

– Oj, czy ty aby prawdę mówisz?

– Mówię.

– Bo mnie się zdaje, że bujasz. A tymczasem mama tam pła...

– Nie! Nie płacze! Nie bujam.

– Hm. No, to co?

– No, to śpię u ciebie – podsumowała z zadowoleniem Genowefa i padłszy na wznak, zacisnęła szczelnie powieki.

– Słuchaj – powiedziała jeszcze Kreska. – Myślę, że powinnam jednak mieć twój adres... tak na wszelki wypadek... – miała zamiar odczekać, aż dziewczynka zaśnie i wtedy pobiec jednak do jej domu, żeby sprawdzić, co się tam naprawdę dzieje, uspokoić rodziców Genowefy, powiedzieć im, gdzie jest dziecko.

Ale Genowefa już spała albo udawała, że śpi. W każdym razie nie odpowiedziała Kresce ani słowem, ani ruchem, a wkrótce zaczęła cicho i równo posapywać.

Kreska westchnęła, zdjęła z bezwładnych nóżek buciki i rajstopy, przykryła dziecko dziadkową kołdrą i poszła do kuchni. Tam przez następną godzinę siedziała na kozetce i osłupiałym wzrokiem wpatrując się wciąż w ten sam punkt przestrzeni, obracała w pamięci wciąż te same pięć minut minionego wieczoru.

5.

Kwadrans po północy w drzwiach zazgrzytał klucz i Ewa Jedwabińska doczekała się wreszcie, pan domu powrócił z zebrania czy czegoś w tym rodzaju. Stanął w progu wesół, ożywiony i z błyszczącym okiem. Jego twarz pokryta była zdrowym rumieńcem, kołnierz wiosennego palta nonszalancko rozpięty.

– Jeszcze nie śpisz? – zdziwił się uprzejmie na widok żony.

Mniej więcej od szóstej po południu, kiedy to stwierdziła zniknięcie Aurelii, Ewa zdołała już zamęczyć telefonami wszystkie możliwe instytucje, od pogotowia, poprzez komisariaty MO, po izbę dziecka na dworcu Poznań Główny. Teraz siedziała na stołeczku w przedpokoju, ściskała zaplecione ręce i bladła z chwili na chwilę. Oczy miała nieruchome i z lekka rozszerzone po zażyciu sporej dawki środka uspokajającego.

– Aurelia uciekła z domu – powiedziała napiętym głosem – Ratuj, wymyśl coś.

Eugeniusz Jedwabiński przyjrzał się żonie uważnie, zdjął płaszcz, odwiesił go starannie do szafy ściennej, po czym wysunął ostrożną propozycję, by napili się oboje herbaty. Troszeczkę nie dowierzał ocenie Ewy. Lubiła, jego zdaniem, przesadzać. Miał nadzieję, że po przełknięciu czegoś gorącego jej napięcie zelżeje i będzie można pogadać z nią po ludzku.

Ale ona nie chciała słyszeć o niczym. Ubrała się szybko i oświadczyła, że czekała tylko na niego, żeby wyjść. Nakładając gorączkowo buciki dodała, że właściwie nie spodziewała się po nim niczego konstruktywnego – ani rady, ani pomocy, i że nie zaskoczył jej bynajmniej żądając w tak dramatycznej chwili jakiejś kretyńskiej herbaty. Wybiegła trzaskając drzwiami, wobec czego Eugeniusz Jedwabiński zdecydował, że żartów nie ma, wdział pospiesznie płaszcz i wypadł za nią.

– Pójdę z tobą – zadeklarował, wkraczając do windy.

– Zadzwoń do niego! – wymyśliła Kreska.

Okazało się, że Janusz nie ma telefonu.

– To wyślij telegram! – poradziła Kreska po prostu, na co Gabriela osłupiała, zerwała się z miejsca i zakrzyknęła:

– Dziewczyno, jesteś genialna! Jedno słowo: wracaj! Albo nie, dwa słowa: wracaj, kochany! Albo nie, cztery słowa... Do licha, dlaczego mnie to dotychczas nie przyszło do głowy? – klepnęła Kreskę po plecach, złapała swój koszyk i wybiegła pięknym sprintem.

Kreska podskoczyła za nią, żeby jej choć z daleka poświecić i żeby zamknąć za nią jednak te drzwi wejściowe na zasuwkę. Wracając ze świecą do pokoju, już po drodze cieszyła się na chwile, które teraz nastąpią, na chwile spokoju i samotności, kiedy to będzie można zatonąć bez reszty w radosnych rozmyślaniach o tym, co wydarzyło się między nią a Maćkiem. Bo że coś ważnego się wydarzyło, było rzeczą pewną. Przez cały czas rozmowy z Gabrysią Kreska miała świadomość czynną tylko w połowie; drugą połowę zarówno świadomości, jak przytomności, wypełniało jej coś w rodzaju przecudownej kantaty w wykonaniu chóru istot bezcielesnych oraz dojmujące wrażenie, że przy wtórze tych niebiańskich melodii otwierają się przed nią, Kreską, jakieś fantastycznie piękne, olbrzymie podwoje, wiodące w przestrzeń pełną złotego blasku, mniej więcej.

Ostrożnie niosąc świecę weszła do pokoju i zmartwiała.

Na poduszce dziadka spoczywała czyjaś ciemna głowa. Ktoś – o Boże! – ktoś leżał w jego łóżku!

Nogi wrosły jej w ziemię z przerażenia, ale dzielnie przemogła strach i zmusiła się, by podejść trzy kroki bliżej. Wyciągnęła dygocącą rękę z lichtarzykiem najdalej jak mogła – i z westchnieniem ulgi rozpoznała leżącą postać.

Genowefa.

Boże drogi. Biedny dzieciak. Jak można było tak o niej zapomnieć? Wyproszono ją z kuchni, to siedziała tutaj tak długo, aż ją zmorzyło po prostu o właściwej dla jej wieku porze. Padła na dziadkowy tapczan i zasnęła. Nawet nie zdjęła bucików. Nawet się nie przykryła. Trzyma tego kudłatego pieska kurczowo przy piersi i śpi jak zabita, biedna brzydulka.

Która to godzina?

Wpół do dziesiątej.

A przyszła tu o szóstej.

Pewnie jej matka się zamartwia. Trzeba będzie małą obudzić i odprowadzić do domu.

Kreska usiadła na krawędzi tapczana i przy chwiejnym blasku świeczki patrzała przez chwilę na uśpione dziecko. Genowefa Bombke spała jak w narkozie; gęste rzęsy spokojnie leżały na policzkach usmarowanych łzami i brudem, włosy rozsypane na poduszce lśniły jak czarny jedwabny wachlarzyk.

Aż żal było ją budzić, spała tak smacznie.

– Hej, bączku! – Kreska pogładziła ją po czole. – Hej, obudź się! Trzeba wstawać!

Genowefa chrapnęła nagle, rzuciła się jak ryba na piasku i przeturlała na drugi kraniec posłania.

Kreska się przesiadła i potarmosiła ją za rękaw.

– No, wstawaj! – powiedziała głośno.

Dziewczynka poderwała się nagle do pozycji siedzącej, krzyknęła i zanim jeszcze otwarła przerażone oczy – już płakała. Szybko i urywanie szlochając, przyciskała z całej siły swojego kudłatego pieska.

Przestraszona Kreska objęła małą za ramiona i próbowała uspokoić, ale było to trudne zadanie. Dziewczynka była jak w szoku. Wreszcie czułe poklepywanie i szepty Kreski dały rezultat o tyle niezły, że Genowefa przynajmniej przestała łkać. Jeszcze chwila – i przemówiła:

– Gdzie on jest? – Spojrzała nieco przytomniej na swoją zabawkę i uspokoiła się: – Tu. Przeniosła wzrok na Kreskę.

– Cześć i czołem. Zasnęłaś u mnie, wiesz? – uśmiechnęła się Kreska i poklepała małą po ręce.

Genowefa rozpromieniła się nagle.

– Proszę? – odezwał się z kuchni spokojny głos. Maćkowi serce stuknęło, popchnął drzwi, wszedł.

W kuchni było już ciemnawo. Na biurku Kreski paliła się lampa kreślarska. W jej świetle Maciek ujrzał dwie głowy pochylone nad zeszytami. Kreska i ten chłopak siedzieli obok siebie i w najlepsze rozwiązywali matematykę. Trzecią osobą w pomieszczeniu była Genowefa Bombke, siedząca bez drgnienie na kuchennym stołku, piastująca w objęciach jakąś brudną zabawkę i wspierająca się plecami o stary piec węglowy.

– Dobry wieczór – powiedział Maciej dość zjadliwie. Oczy wszystkich trojga zwróciły się ku niemu i poczuł się nagle okropnie głupio pod spokojnym spojrzeniem Kreski. Odchrząknął.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – zwrócił się do niej. – To ważne.

Ona milczała, wlepiając w niego wielkie, błyszczące oczy.

– Naprawdę ważne – dodał, starając się nie patrzeć na niedźwiedziowatego faceta.

Oczy Kreski jeszcze bardziej pociemniały. Maciej poczuł, że serce mu zamiera. Na chwilę przestał oddychać.

– Dobrze – powiedziała Kreska słabym głosem.

Niedźwiedziowaty natychmiast wstał, zebrał pospiesznie zeszyty i włożył kurtkę.

– Ja muszę już lecieć, Janeczko – powiedział serdecznie, powodując szarpnięcie zazdrości w duszy Macieja. Przeszedł obok, muskając Maćka rękawem, przeprosił i zatrzymał się z widocznym wahaniem. – Lelujka – przedstawił się, wyciągając rękę.

Maciek bąknął swoje nazwisko, z najwyższą, lecz tajoną niechęcią ściskając podaną mu dłoń.

– Hm, tak, tego... to ja lecę! – rzucił Lelujka, obejrzał się szybko na Kreskę i znikł.

Maciek otworzył usta, lecz spojrzenie jego padło na osowiałą Genowefę Pompke, siedzącą bez ruchu na swym stołku.

– Genowefo, wyjdź! – powiedział. – Proszę cię, posiedź chwilkę w pokoju. Ja muszę porozmawiać z Kreską o czymś bardzo ważnym. Dobrze?

Dziewczynka spojrzała na niego sennie, przycisnęła do brzucha swoją zabawkę, zsunęła się ze stołka i bez słowa wyszła z kuchni.

Maciek był tak przejęty, że ledwie zwrócił na to uwagę. Zamknął za nią drzwi i powiedział stanowczym głosem:

– Janka.

– Słucham – natychmiast odpowiedziała ona, wciąż nie ruszając się z miejsca.

Zauważył, że ręce jej drżą. Przechwyciwszy jego spojrzenie, Kreska podniosła z biurka ołówek i ścisnęła go oburącz z całej siły.

– Kto to... Kto to jest, ten Lelujka?! – wyrwało się Maciejowi.

– Mój przyjaciel – odparła ona. – Bardzo dobry chłopiec.

– Nie podoba mi się ten model przyjaźni – warknął Maciej.

Kresce zadrżały usta, ale nic nie powiedziała.

– Widziałem was wczoraj w parku – rzekł Maciek z goryczą. – Tak jest, wszystko widziałem.

Ponieważ Kreska nadal milczała jak zaklęta, Maciek dodał:

– Byłem rozczarowany tobą, Janino. Tak jest, głęboko rozczarowany.

Cisza.

W tej ciszy rozległ się nagle trzask ołówka, który pękł Kresce w rękach.

– Zachowywałaś się haniebnie, tak jest, haniebnie! – wykrzyknął Maciek.

– No, ale to przecież moja sprawa – uprzejmie odezwała się Kreska.

Macieja zatkało.

– A co?! – krzyknął nagle. – Czyżbym nie miał prawa powiedzieć ci, co myślę?

– No, właśnie chyba nie masz – powiedziała Kreska cichym głosikiem. – Jakieś prawa masz tylko wobec Matyldy. A wobec mnie – nie.

Maciek aż podskoczył.

– Przestań z tą Matyldą! – krzyknął. – Mówiłem ci, że z nią koniec!

– Ona tak nie uważa – powiedziała Kreska z minimalnym, smutnym uśmieszkiem.

– Co – co – co?!

Kreska wyszła zza biurka, stanęła obok Maćka i położyła rękę na klamce.

– Spotkałam ją w tramwaju. Powiedziała, że byłeś u niej na imieninach jako jedyny gość. – Tu głos Kreskę lekko zawiódł, odkaszlnęła, nacisnęła klamkę i powiedziała: – No, to już idź, Ma – Maciek, idź. Ja nie chcę, żebyś tu przychodził, bo wtedy musisz kłamać.

– Ależ ja nie kłamię! – krzyknął Maciek i w tym momencie zgasło światło. Notoryczny złodziej korków tego wieczoru grasował w bramie Kreski.

Maciek wykorzystał tę nagłą a sprzyjającą ciemność na próbę upoczqdkowania swoich spraw uczuciowych. Wyciągnął w mroku rękę, uchwycił ramię Kreski i przyciągnął ją do siebie. Klepiąc po omacku odnalazł jej twarz, nos i usta, po czym zabrakło mu odwagi i pocałował ją w głowę. – Głuptasie – szepnął i uciekł jak szalony, obijając się po ciemku o szafy, krzesła i futryny.

4.

Kreska najpierw długo się uspokajała. Stała z czołem opartym o zimną ścianę i przyciskała rękami płonące policzki. Potem zaś zaczęła szukać zapałek. Wydawało się jej bowiem, że jest rzeczą dziwnie nieprzystojną przebywać tak długo w tej samej ciemności, która skryła Macieja Ogorzałkę wraz z jego pocałunkami. Serce jej biło jak szalone, kiedy po omacku otwierała szuflady kredensu i pobrzękiwała w ciemności sztućcami oraz grzechotała drewnianymi łyżkami. Akurat kiedy wreszcie zapaliła świecę, usłyszała, że ktoś się obija w przedpokoju.

Najpierw ucieszyła się, że to Maciek, potem przestraszyła się, że to Maciek, wzięła lichtarzyk ze świecą i wyszła do pokoju, zastanawiając się, czy dobrze robi i decydując się w przyszłości jednak zamykać drzwi wejściowe na zasuwkę. Ale rychło okazało się, że to tylko Gabrysia Borejko tłucze się po ciemku, niosąc spory koszyk wiklinowy nakryty serwetką.

– Ja tego skunksa poćwiartuję – oświadczyła z furią, wkraczając wreszcie do pokoju. – Ty wiesz, że go nieomal przyłapałam?!

– Na... na czym? – przeraziła się Kreska, przypuszczając naturalnie, że ta sama osoba, która zaprzątała jej własne myśli, jest teraz obiektem burzliwej napaści Gabrieli.

– Stał koło naszego domu, pod latarnią, i oglądał bezpieczniki!!!

– Maciek?!

– Jak Maciek, skąd Maciek. Jakiś ponury margines społeczny, a nie Maciek. Ale ja go zupełnie nie skojarzyłam, bo u nas dzisiaj się świeci. I co? I wchodzę do twojej bramy, a tu już ciemno. Co więcej, idę po schodach, a tu jakiś wielki facet leci na łeb na szyję w tych egipskich ciemnościach i bełkoce „moja malutka, moja kochana". Myślałam, że umrę ze strachu, ale poleciał dalej i wypadł na ulicę.

– Jak... jak mówił? – spytała Kreska bez tchu, zalewając się płomiennym rumieńcem.

– „Moja malutka"... No, tak, chyba mu nie o mnie chodziło – zorientowała się Gabrysia i parsknęła śmiechem. – W końcu ja mam metr osiemdziesiąt. Z drugiej jednak strony, było ciemno zupełnie i mógł tego nie widzieć. Czego się śmiejesz, hę?

– N-nie, nic,..

– Chodź no do kuchni, mam coś dla ciebie – zarządziła Gabrysia.

W kuchni zapaliły jeszcze dwie świece, po czym Gabrysia przystąpiła do wyładowywania zawartości koszyka.

– Mama przysyła ci kapuśniaczki, co nie znaczy, że musisz je zjeść – powiedziała. – Ida dała do ciasta trzynaście deka drożdży, zamiast trzech, potem napiekła tego potworne ilości, w trakcie czego wszedł Sławek Lewandowski i się oświadczył o jej rękę, Natalia i Patrycja mówią, że to było cudowne.

– Ja myślę! – wykrzyknęła zbulwersowana Kreska. – Który to Lewandowski?

– Sąsiad Ogorzałków – wyjaśniła Gabrysia. – Wrażenie zrobił takie, że kapuśniaczków do dziś nikt nie tknął, czemu zresztą osobiście się nie dziwię. Przyniosłam ci tylko po to, żeby się nie zmarnowały. Mam też polecenie od mamy: dowiedzieć się, z czego ty żyjesz, kiedy dziadka nie ma, bo widziano cię w sklepie spożywczym, jak kupowałaś dwie bułki i ser camembert i ledwie ci starczyło forsy.

– O, mam wszystko, czego mi potrzeba – sztywno odpowiedziała Kreska. – Naprawdę bardzo dziękuję, ale dam sobie radę sama i...

Gabrysia złapała ją za łokieć i potrząsnęła jak workiem gruszek.

– Te, mała – rzekła serio. – Lepsi od ciebie ludzie korzystają z pomocy bliźnich i nie zadzierają nosa, tylko się cieszą, że więzi międzyludzkie krzepną. Jasne?

– Jasne – zgodziła się Kreska.

– Więc tu są kapuśniaczki, a tu forsa składkowa, a tu witaminy amerykańskie dla profesora, a to witaminy dla ciebie, a tu parę konserw.

– Ja nie mogę...

– Możesz. Jak ty będziesz miała za dużo, to oddasz temu, kto akurat potrzebuje. Taka jest zasada. Dziękować nie należy. W porządku?

– W porządku. A jak on wyglądał?

– Kto? – zdumiała się Gabrysia.

– Ten facet.

– No, jak to margines. Brudny, gęba czerwona, oczy niewyraźne... Ja myślę, że on je przepija. Te korki.

– Ale nie... ten drugi.. ten, co to po schodach...

– A, ten... no nie wiem, jak wyglądał.

– Nie wiesz?

– Ciemno było kompletnie. Wiem tylko, że wysoki był, mojego wzrostu i skafandrem szeleścił. A dlaczego pytasz?

– Ja? A nie, nic – tu Kreska zaśmiała się niedorzecznie, spuściła głowę, podniosła ją, spojrzała na Gabrysię i znów się zaśmiała.

– Co ci tak wesołutko? – podejrzliwie spytała Gabriela. – Czy ja mam coś na twarzy?

Kreska nie odpowiedziała, tylko znienacka pocałowała Gabrysię w policzek, aż zadzwoniło, i zaproponowała jej herbatę z kapuśniaczkiem.

– Tylko nie to – powiedziała Gabrysia. – Zresztą, ja już lecę. Mam poważne zajęcie na dziś wieczór. Bo, wyobraź sobie, przyszedł list od Janusza.

– Od twojego męża?!

– Od niego – Gabrysia zerknęła na Kreskę, westchnęła i powiedziała: – List szedł trzy i pół miesiąca. Gdybym ja wiedziała trzy i pół miesiąca to, co wiem dzisiaj...

– To co?

– To bym tak nie pomstowała. Trzy i pół miesiąca temu on już był zdecydowany wracać...

– Do Polski?

– No a gdzie. Napisał w tym liście, że chce wracać, że nas kocha jak głupi, i mnie, i Pyzunię, i że był idiotą i że zaraz bez nas zwariuje z tęsknoty i pyta, czy mu przebaczę.

Kresce zabrakło tchu z wrażenia. Co za historia!

– A ty – przebaczysz? – spytała.

Gabriela oświadczyła, że oczywiście tak. Przebaczy mu natychmiast, przebaczyła mu w ogóle już dawno, ale nieszczęście polega na tym, że ona jest w gorącej wodzie kąpana. Zanim list Janusza dotarł, ona już wyrąbała do niego ze trzy epistoły, w których zmieszała go z błotem i nie pozostawiła żadnej nadziei na pojednanie. Wskutek opieszałości poczty, Janusz Pyziak otrzyma te listy w odpowiedzi na swój sprzed trzech i pół miesiąca, otrzyma je właśnie w momencie, kiedy czeka na przebaczenie i zachętę do powrotu. Jeżeli nawet Gabriela napisze dziś wieczór list wyjaśniający, to może się zdarzyć, że Janusz otrzyma go za kolejne trzy miesiące, przez który to czas albo się załamie, albo się obrazi, albo w ogóle zrobi coś głupiego. Sytuacja wyglądała beznadziejnie i Gabrysia nie miała pojęcia, co robić.

PSYCHOZABAWA

w 8 obrazkach

– patrz dalej i wybieraj

Kochać jak...

(jak kto?)

● Spośród 8 obrazków, które ujrzysz na następnych stronach, WYBIERZ JEDEN – ten, który wyobraża taką miłość, o jakiej śnisz i marzysz oraz uważasz, że jak się kochać – to TYLKO TAK!

● CO OZNACZA twój wybór, dowiesz się przeczytawszy komentarze zamieszczone na dalszej stronie.

● NIE CZYTAJ KOMENTARZY, dopóki nie dokonasz śmiałego i nieodwołalnego wyboru, bo... cała zabawa będzie na nic.

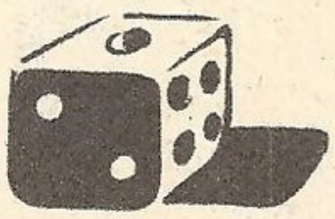

● Tym, którzy ani rusz nie będą mogli zdecydować się, którą z ośmiu odmian miłości wybrać dla siebie – radzimy, by zawierzyli losowi: pierwszy rzut kostką wskaże Ci numer, od którego zaczynając odliczysz tyle pól, ile przyniesie drugi rzut (liczyć należy zgodnie z biegiem numeracji). Pole, na którym zakończysz liczenie, wskaże Ci taką miłość, jaką los Ci zsyła...

● Kiedy już przetestujesz swoje własne miłosne marzenia, poddaj próbie TĘ lub TEGO, kto pierwszy przyszedł Ci na myśl po przeczytaniu tej propozycji... Ciekawe, czy wasze marzenia są jednakowe?

● A jeśli uważasz, że MIŁOŚĆ TO SPRAWA ZBYT POWAŻNA, żeby sobie robić z tego zabawę (choćby i „psycho") – to trudno. Radzimy jednak: schowaj ten „miłosny komiks" i jak Ci kiedyś będzie ciężko i smutno na sercu – zawieś na widocznym miejscu. Nic tak nie pomaga na własne sercowe kłopoty, jak świadomość, że i inni też nie mieli z tym lekko...

Kto już wybrał

NIECH PRZECZYTA „psychokomentarze"

romantyczna
5
dramatyczna
6
wzniosła
7
niecenzuralna
8
DOZWOLONE OD LAT 18

1 pełna przygoda

2 sentymentalna

3 jak z bajki

4 jak z serialu

PSYCHOKOMENTARZE

1 MIŁOŚĆ PEŁNA PRZYGÓD

czyli kochać się jak Parys z Heleną, jak Kmicic z Oleńką, i wiele, wiele innych par szczęśliwych i nieszczęśliwych, którym los nie szczędził burzliwych losów.

Kto wybrał taką miłość...

...szuka w życiu mocnych wrażeń. I to nie tylko w sferze uczuć. Chce żyć pełnią życia. Nie szuka dróg łatwych i spokojnych. Swój temperament życiowy wyładowuje nie w gadaniu, lecz w działaniu.

2 MIŁOŚĆ SENTYMENTALNA

czyli kochać się jak Filon z Laurą oraz inni, którzy „pod umówionym jaworem" lub też gdzie indziej przeżywali miłość zgodną, pogodną i łagodną.

Kto wybrał taką miłość...

...uwielbia randki, nie kończące się spacery wypełnione rozmowami, niekoniecznie zresztą o treści sentymentalnej. Jest wrażliwy na piękno natury, a więc też – w wysokim stopniu – na urodę płci odmiennej.

3 MIŁOŚĆ JAK Z BAJKI

np. o Kopciuszku i o Księciu, czyli taka miłość, która „spada z nieba" odmieniając wszystko.

Kto wybrał taką miłość...

... nie wierzy w miłość prawdziwą. Bajkę o Kopciuszku traktuje nie jak opowieść o miłości, lecz o życiowej karierze. Sam też pragnąłby daleko zajść w życiu, oczywiście nie dzięki księciu, lecz o własnych siłach.

4 MIŁOŚĆ JAK Z SERIALU

– oczywiście w stylu „Niewolnicy Isaury" – powodująca dreszcze emocji, wyciskająca łzy wzruszenia, ale z zagwarantowanym happy endem.

Kto wybrał taką miłość...

... jest osobą łatwo ulegającą strzałom Amora. Przeżywa gwałtowne oczarowania i równie szybko zapomina, łamiąc liczne serca tych, którzy (które) nie potrafią przeżywać wielkich uczuć w tempie serialu.

5 MIŁOŚĆ ROMANTYCZNA

ale w najszczęśliwszym tych słów znaczeniu – taka, jak np. pełna głębokich uczuć, szlachetności, dobroci i uśmiechu miłość Ani z Zielonego Wzgórza i Gilberta.

Kto wybrał taką miłość...

... jest osobą odporną na smutki i zmartwienia, pełną optymizmu, życzliwą dla innych. Potrafi być dobrym kolegą i przyjacielem, a słowa „miłość" nie nadużywa – zostawiając je na później.

6 MIŁOŚĆ DRAMATYCZNA

czy nawet wręcz tragiczna, ale jednak miłość wzajemna, mimo wszelkich przeciwności i – do grobowej deski, czyli miłość Romea i Julii.

Kto wybrał taką miłość...

... wierzy w miłość prawdziwą. Może ma jakieś smutne wspomnienia, może pogrzebał jakieś nadzieje, może ktoś był obojętny na jego gorące uczucia. Mimo wszystko jednak wierzy w wielką miłość i czeka na nią. Na pewno nadejdzie!

7 MIŁOŚĆ WZNIOSŁA

bezinteresowna, idealna, w najwyższym stopniu poetyczna, czyli miłość Małego Księcia i Róży.

Kto wybrał taką miłość...

... ma duszę artystyczną, szerokie zainteresowania, wielkie ambicje i plany. Ale jego zainteresowanie płcią odmienną jest minimalne. Woli pójść na zbiórkę, na rajd niż na randkę lub do dyskoteki. Ale, do czasu... Amor razi strzałami również tych, którzy go nie dostrzegają.

8 MIŁOŚĆ NIECENZURALNA...

dozwolona od lat 18... – możemy się tylko domyślać, że na ekranie rozgrywają się sceny, których nie sposób ani narysować, ani opisać w „Płomyku"...

Kto wybrał taką miłość...

... jest zapewne osobą w gruncie rzeczy skromną i powściągliwą. aby sobie jednak wyrobić opinię „łamacza serc", Leoncia, czy też po prostu podrywacza (–czki), chętnie manifestuje, głównie w słowach (często niezbyt cenzuralnych) swoją rzekomą swobodę obyczajów.